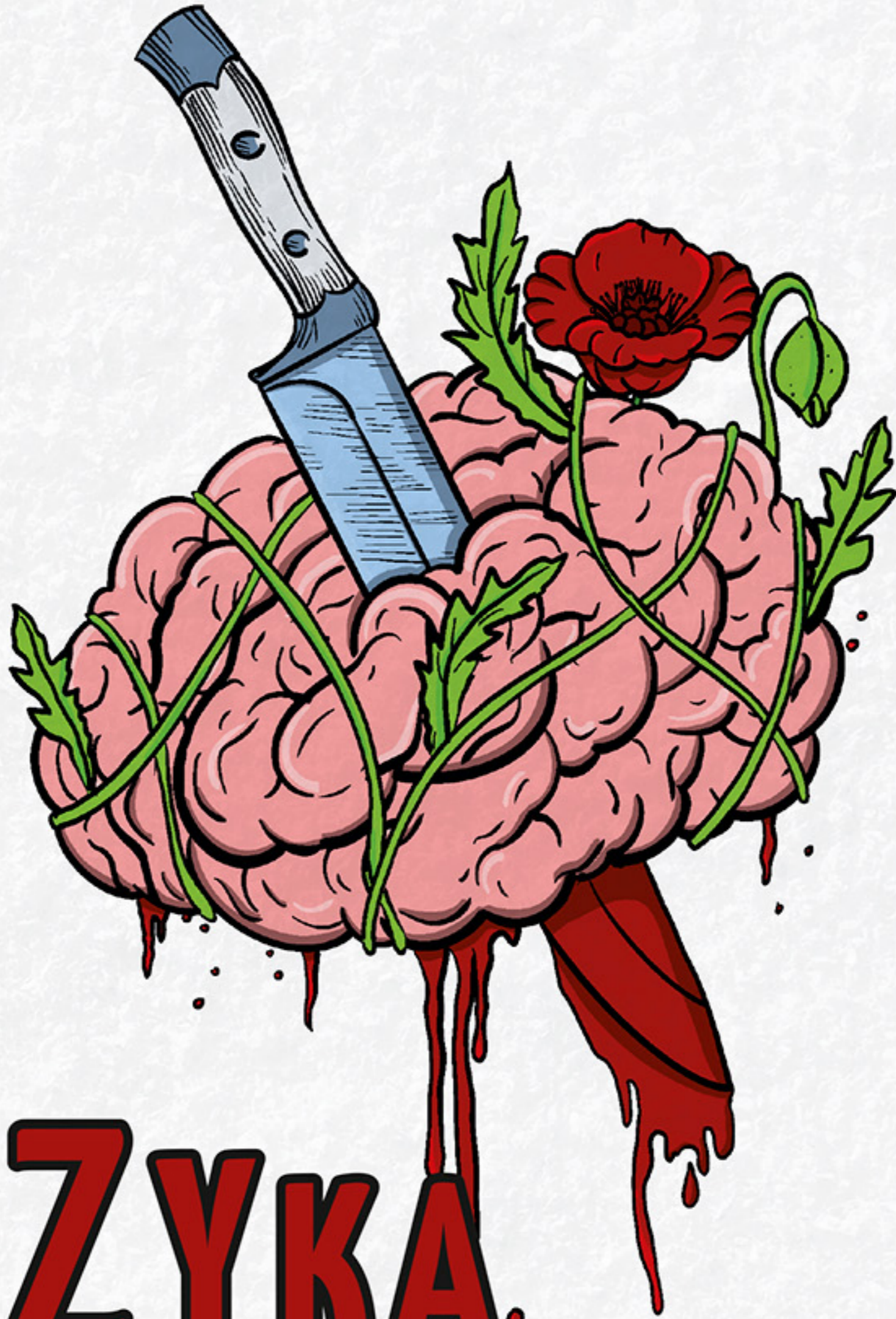


JAN WOŹNIAK



**FIZYKA.  
RÓWNA  
ŚMIERĆ!**

BookEdit



JAN WOŹNIAK



**FIZYKA**  
**RÓWNA**  
**ŚMIERCI!**

BookEdit

Copyright © Jan Woźniak, 2023

Projekt okładki: Dawid Duszka

Ilustracje na okładce: © Dawid Duszka

Redakcja: Anna Kielan

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-68032-00-0

Wydawca

**BookEdit**

---

tel. 512 087 075

e-mail: [redakcja@bookedit.pl](mailto:redakcja@bookedit.pl)

[www.bookedit.pl](http://www.bookedit.pl)

[facebook.pl/BookEditpl](https://facebook.pl/BookEditpl)

[instagram.com/bookedit.pl](https://instagram.com/bookedit.pl)

*Z dedykacją dla Versage, którą uwielbiałaby nawet Magdalena Amare*

*Na końcu książki znajduje się aneks słów  
wyjaśniający znaczenie niektórych z nich.*

## Spotkanie po latach

---

Była to naprawdę mroczna noc, pełna tajemniczości. Lekki wiatr sprawiał, że tu i ówdzie słychać było szum liści, a także szelest ściółki leśnej. O tej porze zwierzęta zazwyczaj kryją się w lesie, jedna tylko sarna nie spała w swoim legowisku. Dostrzegła postać w białym kaftanie z kapturem i takiej samej pelerynie i za nią ruszyła. Cała postać lśniła w odbijanych, padających na nią promieniach księżyca. To był dość wysoki osobnik, nie widać było jednak jego twarzy. Nocą las człowieka przeważnie przeraża i rzadko do niego wchodzi ktokolwiek bez ochrony, więc było to osobliwe zjawisko. Zwierzę szybko pomknęło za postacią, gdy tylko ta zniknęła mu z pola widzenia.

Sarna i „biała” postać znajdowali się w samym środku lasu. Co jakiś czas osobnik na leśnej dróżce odwracał się, nieraz zaklął, kiedy się przewrócił lub potknął. W ten sposób sarna zorientowała się, że osoba, za którą podąża, to dorosły mężczyzna – oczywiście tego nie rozumiała.

Nagle sarna się zatrzymała. Ujrzała bowiem coś, czego się nie spodziewała. Dotychczas żaden człowiek nie zboczył w lesie ze ścieżki o tak późnej porze, w dodatku kompletnie bezbronny człowiek. Niepewnym krokiem ruszyła za nim. Po pięciu minutach marszu stanęła obok wielkiego dębu, a dziesięć metrów od niej „biała” postać także przystanęła. Wtedy coś błysnęło, a raczej oświetliło teren wokół tajemniczego gościa. Sarna przyglądała się, wystawiając oczy za dębu rosnącego w pobliżu. Była świadkiem niesamowitej sceny.

Mężczyzna w białym ubraniu unosił w ręku biały długopis i patrzył wprost na innego człowieka, który najwyraźniej wbrew swej woli wisiał nieco nad ziemią przytrzymywany za dolne i górne kończyny gałęziami drzew.

Sarna nigdy nie widziała, by gałęzie drzew w taki dziwny sposób oplatały człowieka, a nawet by tak się wygięły wbrew prawu przyrody i – co ważne – fizyki. Gdy w końcu dostrzegła twarz wiszącego, stwierdziła, że dość obficie krwawi, a jego twarz przybrała gorzki uśmiech. Człowiek był w średnim wieku, miał krótkie, czarne jak smoła włosy, niebieskie oczy, które pobłyskiwały w świetle księżyca. W końcu „biały” mężczyzna przemówił do wiszącego:

– Wróciłem, mój drrrrrogi. Wróciłem – zachichotał. – Mam nadzieję, że przemyślałeś sobie całą sprawę. Mam rację?

Wiszący człowiek nie odpowiedział. Zaczął się śmiać, a po paru minutach przemówił oziębłym głosem:

– Chyba nie jesteś aż tak głupi, by sądzić, że pozwolę zabić moją rodzinę, ty, kretynie!?

Na te słowa „biała” postać nie odpowiedziała. Jedynie uniosła długopis na wysokość twarzy. Następnie zaśmiała się tak głośno, że sarna na chwilę schowała się za gruby dąb, przy którym stała. Tajemnicza postać energicznie machnęła długopisem na linii swojego wzroku od lewej do prawej strony, a głowa więźnia poruszyła się tak samo.

– Johnie, wiesz, że możesz umrzeć szybko albo zamęcę cię na śmierć – krzyczał osobnik z długopisem.

– Chyba jednak nie zauważyłeś – zaczął ów John, prawie się śmiejąc. – Sądzisz, że jak potraktujesz mnie, jak to mówią „f”izycy, z liścia, to okażę skruchę? Myślisz, że naprawdę mogę zdradzić swoją rodzinę, że pozwolę byś zabił mojego syna i moją najukochańszą żonę!

– Oj... Nie powinieneś tego mówić, podły człowieku – odrzekł tajemniczy mężczyzna. – Dobrze wiesz, że to MÓJ syn oraz że twoja żona to podła zdrajczyni rodu „F”izyków!

– Wmawiaj sobie, idioto, te brednie, to szybciej cię znajdą. Już czekam, by spojrzeć z góry, jak giniesz w największych męczarniach za swoje zbrodnie i skradzione rdzenie.

„Biały” mężczyzna podbiegł do Johna i chwycił go mocno drugą ręką.

– Ha! – westchnął. – Policzę do dziesięciu... Zobaczymy, jak ci się spodoba, Johnieeee – powiedział i przeciągnął jego imię na znak drwiny. – Raz... To znaczy jedeeen... dwa... trzy...

John robił się coraz bardziej fioletowy na twarzy, jakby zaczęło brakować mu powietrza, jakby się dusił z braku tlenu.

– Już nie tak wesoło, co?! – ryknął mężczyzna, odsuwając rękę od Johna, który z trudem łąpał dech. – Ojjoj... Czyżbyś zmarkotniał? Zapytam jeszcze raz i radzę ci udzielić poprawnej odpowiedzi. Inaczej pamiętaj o tym, że twoją żonę, tak czy owak, spotka ten sam los, co ciebie. Pomagając mi, oszczędzasz jej bólu. Każde twoje kłamstwo utwierdza mnie w przekonaniu o tym, że naprawdę muszę jej się odwdziżyć za ZDRADĘ naszego rodu!

– No dobrze, już dobrze... Przybliży się – westchnął John. – Nie chcę, żeby ktoś usłyszał...

– Czy ty jesteś kompletnym idiotą?! Jesteśmy w środku lasu trzydziestego pierwszego sierpnia nocą! Niby kto miałby tutaj być?! – warknął tajemniczy mężczyzna, lecz mimo że uznał to za kompletnie bezsensowne, przybliżył się do Johna, z wdziękiem stąpając po liściach leżących na ziemi. Kiedy stanął twarzą w twarz z Johnem szepnął: – Więc? Co takiego mi powiesz?

John nabrał powietrza do ust, po czym splunął w twarz „białego” mężczyzny. Ten szybko odsunął się i otarł lico swoim lśniącym białym ubraniem. John roześmiał się na cały głos:

– Naprawdę wierzyłeś, że powiem ci...



Sarna całą sytuację obserwowata – jak uznała w myślach – z bezpiecznej odległości i z szeroko otwartym pyszczkiem. Gdy John kpił z naiwności „białej” postaci, zauważyła, że miał wycelowany w siebie długopis. Drugi mężczyzna oddał go od twarzy Johna z szyderczym uśmiechem, aż tamten poczuł, jak żołądek pulsuje ciepłem i zwymiotował to, co miał w środku.

– Wzruszające... Naprawdę wzruszające... – zachichotał tajemniczy człowiek. – Nie zostawiasz mi wyboru, mój drogi. Dość czasu straciłem, by cię tu przytasczyć, nawet wykorzystując powszechne zdolności „F”izyka... Aaa... Tak... Zapomniałem. Ciebie z tego rodu wyrzucono! Tak samo jak twoją nadętą, parszywą, zdradliwą i nieobliczalną żonę!

John chciał mu przerwać, lecz ten znów za pomocą długopisu „spoliczkował” go i ciągnął dalej nie ukrywając złości:

– Wiedz, że zapisałeś jednak, jak ty to mówisz, SWOJEGO syna do liceum, w którym to ja uczę fizyki, więc kiedy pozbędę się jego rodziców, wtedy zaopiekuję się nim. Przekażę mu swoją wiedzę! Zawładnę jego umysłem za pomocą rdzenia! MOJEGO rdzenia, Johnie! Stuprocentowego, a wiesz, co to oznacza? – Zerknął prosto w twarz wiszącego człowieka, który dopiero teraz spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie! Nie możesz! Niiieeee! – wykrzyknął John z całych sił.

– Tak ci się tylko wydaje? – uśmiechnął się do niego „biały” mężczyzna. – Przecież to MÓJ syn. Pamiętaj o tym.

– Jesteś wariatem! Moja żona nie pozwoli na to, by NASZ syn cię poznał!

– Ooo... Dobrze – westchnął. – Ale ona już jutro będzie martwa. Będę śledził Cluziva do domu, a potem jakoś ją z niego wywabię. Może nie będzie cierpiąta zbyt długo, choć wciąż pamiętam o tym, co mi zrobiła. Wracając do Cluziva... Dam mu rdzeń, dzięki któremu posiadasz wiedzę „F”izyczną, tą prawdziwą. Przekażę mu swoje umiejętności, a wtedy zajrzy do niego Komisja Uczniowska naszego rodu. Zabiorą go, bo będzie posiadał „umiejętności”. Dobrze wiesz, co to oznacza. Wróci tam! Wróci tam, skąd przybyliście. Wykorzystam go, by zabił mojego brata i będę chciał, by odwdziczył mi się za pomoc, której udzieliłem mu po waszej śmierci.

– O tak. Już widzę, jak słucha, że ma zabić, jak na razie, najlepszego „F”izyka naszego rodu – zaśmiał się John.

– Zamilcz! Jakiego NASZEGO, chciałeś chyba powiedzieć TWOJEGO! To znaczy MOJEGO! Tylko ja jestem „F”izykiem. Ty i twoja niewdzięczna żona jesteście „f”izykami od piętnastu lat. Chyba pamiętasz, jak porzuciła wszystkie marzenia, by zostać z tobą... – Zrobił minę, jakby się brzydził tego, co powiedział. – Odeszła z mojego rodu dla ciebie. A ty nie chcesz ulżyć jej cierpieniom przed śmiercią, dlatego wykończę ją dopiero po rozpoczęciu roku szkolnego. Ale nie martw się, postaram się, by też umarła tutaj.

– Jak śmiesz mi to mówić. Zabij mnie!

– Czy mi się wydaje, czy właśnie słynny John, były „F”izyk, a obecnie „f”izyk, błaga o litość?!

– Nie dałbym ci tej satysfakcji – uśmiechnął się John.

Wtedy „biała” postać uniosła swój biały długopis i z pełnym opanowaniem i wdziękiem skierowała go na Johna.

– Chyba nie chcesz, bym umarł z bezwładności, co? – dodał szybko, wisząc, gdy tylko ujrzał długopis skierowany w swoją stronę. – Czy nie zasłużyłem według ciebie na tortury?

– Och, uwierz mi, że ta bezwładność zada ci dosyć cierpienia. Czy wiesz, co czuje się po tym, co zaraz nastąpi?

– Słyszałem, że przenika cię straszliwy ból, a cała wiedza „f”izyczna – tutaj odchrząknął – przepraszam „F”izyczna, jest z ciebie wysysana, rozdzierając twój umysł i powodując cierpienie prowadzące do męczeńskiej śmierci.

– O tak! To prawda. Dodam tylko, że z ciebie nie będę miał żadnego pożytku, jak słusznie zauważyłeś. Zostałeś pozbawiony wiedzy „F”izycznej. – Nie zważając na nic, skierował swój długopis prosto w Johna. Zamknął na chwilę oczy i się zamyślił.

– Próbujesz się skupić, czy jak?! – zakpił John. – No dalej, robiłeś to już tyle razy, że chyba nie masz z tym problemu. Obaj wiemy, że zabiłeś prawie całe swoje rodzeństwo.

W końcu nie wiadomo, czy zamierzenie, czy ze złości, „biała” postać wydusiła z siebie ochrypłym, lecz bardzo donośnym głosem:

– *INERCJA!*

Słowo to rozniosło się donośnym echem po całej okolicy. Jedna mała kropka uleciała z długopisu mężczyzny. To w nią wpatrywała się sarna, tak nią zaciekawiona, że bez względu na to, co sobie myślała, podeszła blisko Johna, czekając, aż owa kropka spadnie na ziemię, by ją zjeść. Tak się jednak nie stało. Kropka w dość wolnym tempie poszybowała ku Johnowi. Ten natomiast zaczął mówić do „białego” mężczyzny spokojnym tonem:

– Myślisz, że MÓJ syn nabierze się na twoją sztuczkę. Ależ jesteś naiwny. Twój brat wszystko wyczuje. Zobaczysz, że odkryje w nim rdzeń. Nie pomoże ci odzyskać władzy. Jesteś nikim. Rozumiesz?! NIKIM! Boisz się mu spojrzeć w oczy. Potrzebujesz wykorzystać dziecko do...

W tej chwili kropka opadła na jego nos, pozbawiając go życia. Gdy zniknęła, sarna zdała sobie sprawę, że stoi zaledwie trzy metry od człowieka. W popłochu zaczęła uciekać w głąb lasu. „Biały” mężczyzna jednak nie dał za wygraną.

– Wybacz mi, stworzenie, ale żadnych świadków! Nie mogę ryzykować – krzyknął jakby z lęku: – *Inercja!*

Kropka poszybowała ku uciekającej sarnie z prędkością światła. Ta upadła na ziemię pozbawiona jakiegokolwiek odruchu.

Tajemniczy mężczyzna zbliżył się do ciała Johna, które nadal wisało nieco nad ziemią, a jego kończyny były „trzymaane” przez gałęzie. Dotknął jego klatki piersiowej, a wtedy gałęzie

puścili ciało. „Biała” postać pochyliła się nad nim i jakby wyszeptwała do martwego już mężczyzny:

– Teraz wiesz, jak czuje się ktoś, kto nie zaznał dobroci drugiego człowieka, a raczej jej odwzajemnienia. Powiedziałbym nawet, że nie zaznał miłości ukochanej osoby. Jesteś martwy, więc nic nie czujesz, tak jak twoja podła żona do mnie. Po tylu latach przyszedł dzień, kiedy to MÓJ syn wróci potężny do rodu „F”izyków i doprowadzi do wielu zamieszek. Zazna miłości. Jestem tego pewien, lecz mam nadzieję, że zostanie potraktowany z godnością i dobrocią serca drugiego człowieka. Wybacz, Johnie, ale nie mogłem cierpieć wiecznie. Do zobaczenia za ileś tam lat – uśmiechnął się i rozejrzał wokół.

Było ciemno. Las dawał o sobie znaki. Wszędzie słychać było odgłosy wiatru, który rozwiewał liście i nie tylko...

## Erich czy Hcireu?

---

Cluziv otworzył oczy. Od razu wyrztał przez okno. Był ciepły, wciąż jeszcze letni dzień. Do jego uszu dochodził słodki śpiew ptaków. Przeciągnął się energicznie, ubrał się i podekscytowany pierwszym dniem w nowej szkole zbiegł na dół na śniadanie. Zauważył mamę, Joannę, która szykowała positek.

– W co ty się ubrałeś? – zapytała z uśmiechem na twarzy Joanna, jak tylko go zobaczyła.  
– Przebierz się natychmiast. Masz piętnaście lat, nie możesz iść na rozpoczęcie roku w takich ciuchach.

Cluziv przytaknął głową.

– Ubierz się w tamte rzeczy – powiedziała Joanna i wskazała leżące na fotelu ubranie. – Migiem!

Piętnastolatek nie zamierzał się sprzeciwiać. Podeszedł do fotela i przebrał się w strój galowy. Odwrócił się i spojrzał na matkę, a ta na niego. Miała jak zwykle długie blond włosy, a jej twarz promieniowała matczynym dobrem. Jej niebieskie, jak niebo owego dnia, oczy utkwily w jednym punkcie.

– Oooo... – westchnęła kobieta. – Jesteś już taki duży i taki przystojny w tym garniturze. Tata na pewno byłby z ciebie dumny, gdyby cię widział.

– Tata wróci dzisiaj po południu, prawda? – zapytał niepewnie Cluziv. – Z delegacji? Tak mówiłaś?

– Co? Aa... Tak... Tak mówiłam. – Można było dostrzec, że kobieta była zamyślona i trochę nieobecna. – To znaczy tak, tak... Wróci po południu. Co prawda to dłuższy wyjazd, a i przeciagnąć się może. Dobrze o tym wiesz, synku. No, a teraz, proszę, jedz. Smacznego. – Położyła na stole talerz z nieco przypalonymi tostami.

Chłopiec jadł w ciszy, a kiedy skończył, wstał i odłożył brudny talerzyk do zmywarki. Joanna odwróciła się i powiedziała nad wyraz czule:

– Teraz umyj zęby i pędź do szkoły. Niedobrze by było, gdybyś już na rozpoczęcie roku szkolnego się spóźnił.

Piętnastolatek pośpiesznie wykonał polecenie. Poszedł do łazienki, a kiedy wyszedł po kilku minutach, matka już czekała przy drzwiach wyjściowych. Chłopiec ledwie wyszedł z domu, gdy ta zawołała go pośpiesznie, przytuliła z całej siły i powiedziała lekko drżącym głosem:

– Pamiętaj, że niezależnie od tego, co się wydarzy, twoja mama i tata będą przy tobie.

Cluziv tylko spojrzął na nią i odrzekł z uśmiechem.

– Wiem, mamó. Mogę już iść?

– Tak, możesz – powiedziała Joanna, wypuszczając go z matczynych ramion.

Cluziv wyruszył do liceum, do którego miał uczęszczać. Nie przepadał za gimnazjum i miał nadzieję, że w szkole średniej znajdzie kogoś, z kim będzie dzielił swoje zainteresowania. Wiatr wiał mu prosto w twarz i jego krótkie, czarne jak smoła włosy wprawiał w lekkie drganie. Jego twarz była blada, nie wiadomo, czy z niecierpliwości, czy z zaniepokojenia, które udzieliło mu się od matki.

Przed budynkiem liceum czuł podekscytowanie na tyle duże, że przystanął i patrzył na szkołę przez dobrą chwilę. Wewnątrz okazało się, że główny korytarz był bardzo zatłoczony. Wszędzie stychać było głośny gwar uczniów zmierzających na salę gimnastyczną. Pośrodku sali stała nieco starsza kobieta, która uniesionymi rękami dawała znak, że czas się uciszyć. Po czym zaczęła swą nudną dla wszystkich i niezwykle długą opowieść o tym, co się rozpoczyna w dzisiejszym dniu. Jakie zasady obowiązują od tego roku. Cluziv nie słuchał jej, patrzył w ziemię i rozmyślał o tym, co mogły oznaczać słowa matki. Dopiero teraz wydały mu się bardzo dziwne. Nigdy nie mówiła wprost o tym, że go niezwykle kochają. Nagle do jego uszu dobiegł szept dwóch chłopaków, stojących i podpierających ścianę tuż obok:

– Patrz! Zawsze w białym garniturze i białych spodniach. Biały krawat i w ogóle.

– On jest chyba nienormalny. Trzeci rok go widzimy w tej szkole, a on codziennie w tym białym stroju. Przecież można oszaleć. – Obaj zaśmiali się pod nosem.

Cluziv uniósł wzrok znad podłogi i ujrzał jak starsza kobieta, zapewne dyrektorka, prezentuje grono pedagogiczne. Mężczyzna w białym garniturze i takich samych spodniach siedział już na krześle i zerkał na nią.

Po niezwykle długiej dla Cluziva godzinie wszyscy mogli rozejść się do sal. Chłopiec dopiero teraz zrozumiał, że nie słuchał i nie wie, kto jest jego wychowawcą. Na korytarzu szturchnął jednego chłopaka i nie owijając w bawełnę, zapytał, kto jest wychowawcą 1c – tyle akurat wiedział. To była klasa o profilu matematyczno-fizycznym, do niej składał papiery. Chłopak wskazał mu nauczyciela idącego parę metrów przed nimi. Wyraźnie wyższego od innych. Był to człowiek w białym stroju.

Więc to on jest jego wychowawcą? Czy nie jest zbyt dziwny? – myślał po drodze na drugie piętro Cluziv.

– Cluziv Rachmond – przedstawił się chłopakowi, który wcześniej udzielił mu informacji na temat wychowawcy.

– Jestem Henryk. Też pierwsza c. Witam w klubie!

Obaj weszli do sali nr 310 i usiedli w ostatniej ławce w rzędzie od okna. Cluziv Rachmond rozglądał się po sali.

– Witam wszystkich w nowym roku szkolnym i pierwszym roku w liceum – zaczął swą przemowę wychowawca. – Nazywam się Erick Klingelfein i miło mi was powitać. Przez najbliższe trzy lata stanowić będziemy, nawiasem mówiąc, pewną rodzinę. Myślę, że każdy wniesie coś od siebie do tej klasy. Za chwilę rozdaję plan lekcji i je omówimy – powiedział, po czym rozdaję karteczki i kontynuował: – Wybraliście profil politechniczny. Wasze główne przedmioty to matematyka i fizyka oraz angielski. Łatwe do zapamiętania, prawda?

Cluziv i Henryk wymienili spojrzenia.

– Matematyki będzie was uczyła pani dyrektor, którą poznaliście na sali gimnastycznej. Język angielski poprowadzi pani Dorota Diuck, a fizykę ja! – Po klasie rozszedł się szmer szeptów, lecz Klingelfein ciągnął dalej: – To już wszystko. Macie godzinę na zwiedzanie szkoły, a także na zaznajomienie się ze sobą. To co... Ruszajcie! – wykrzyknął wychowawca, wskazując drzwi.

Cluziv i Henryk pozostali jednak na miejscach, czekając, aż tłum wyjdzie z sali, by nie tłoczyć się z innymi – rozumieli się bez słów. W końcu, gdy w sali zostali tylko oni i wychowawca, ruszyli do drzwi, lecz Erick powiedział nagle:

– Cluziv!

Chłopiec jak na komendę odwrócił się w jego stronę.

– Cluziv! – powtórzył nauczyciel. – Możesz na chwilę zostać? Chciałbym z tobą porozmawiać. A ty, chłopcze, zostaw nas samych, proszę – zwrócił się do Henryka.

Henryk posłusznie wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Cluziv spojrzał prosto w twarz Klingelfeina. Jego oczy lśniły czymś w rodzaju podniecenia i ekscytacji. Przynajmniej tak wydawało się młodemu chłopakowi.

– Tak, proszę pana? – zapytał nieco przerażony tym spotkaniem.

Klingelfein jednak utkwiał w nim swój wzrok. Dopiero po chwili milczenia zaczął spokojnym, wyrafinowanym głosem:

– Czy twoim ojcem jest John Rachmond, a matką – tutaj jakby coś utknęło mu w gardle – Joanna Rachmond?

– Tak, psze pana – wyjąkał Cluziv dość nieśmiałym tonem. – Czy coś się stało? – Chłopiec poczuł przerażenie, gdy przypomniały mu się słowa mamy: *Pamiętaj, że zawsze niezależnie od tego, co się wydarzy, mama i tata będą przy tobie.*

– Nic się nie stało. Nie martw się. Po prostu od razu rozpoznałem cię po oczach. Z twarzy jesteś taki podobny do ojcaaaa. Pozwolisz, że zobaczę, czy masz takie samo znamię z tyłu głowy jak twój ojciec, dobrze?

Cluziv spojrział na nauczyciela, jakby przyglądał się jakiemuś nienormalnemu lub pozbawionemu rozumem człowiekowi.

– Pan zna moich rodziców? – zapytał jeszcze bardziej nieśmiało.

– Czy ich znam? Co to za pytanie! Byłem dobrym przyjacielem twojej matki! A twojego ojca... No powiedzmy, że też znamy się z widzenia.

– Dlaczego był pan jej dobrym przyjacielem? Czy to znaczy, że...

– Ooo, nie. To znaczy tak. Albo nie – jakby plątał się w zeznaniach. – Hmmm. Jakby to powiedzieć. Nadużyłem trochę jej dobrego serca. Ale to chyba nieważne. Relacje moje i twoich rodziców mają się nijak do twojej nauki w tym prestiżowym liceum przez najbliższe trzy lata. Czy mogę obejrzeć twój tył głowy? Pamiętam, że twoja mama pokazała mi go na jednej z kolonii.

Cluziv niechętnie, ale zgodził się na to. Podszedł do wychowawcy i obrócił się tyłem. Utkwił wzrok w jednym z pucharów stojących na szafie. Był złoty, a piętnastolatkowi wydawało się, jakby cały lśnił. Może to tylko sprawka promieni świetlnych jak zawsze, a może rzeczywiście jest ze szczerego złota – pomyślał. Nagle poczuł dotyk dłoni wychowawcy na swojej głowie. Usłyszał, jak szepcze coś pod nosem.

– Mówił pan coś? – zapytał Cluziv, nadal spoglądając na puchar.

– Słucham? – odpowiedział wychowawca, wciąż przyglądając się chłopcu. – A nie, to nic. Nie przejmuj się, próbuję sobie przypomnieć, gdzie konkretnie ono było.

– Skoro nigdzie go pan nie może znaleźć tego znamienia, to go nie mam. – Cluziv chciał już się odwrócić, lecz wychowawca ścisnął go tak mocno, że nie mógł.

– Nie! Nie... musi gdzieś być... jestem tego pewien... Aha! – wykrzyknął Klingelfein. – Jest tutaj... – Erick przyłożył swój środkowy palec prawej ręki z tyłu głowy Cluziva.

W tym momencie chłopak poczuł zimno, które całkowicie przeszło jego ciało od stóp do głowy, a raczej na odwrót, od głowy do stóp. W ułamku sekundy, a raczej z prędkością światła – jak powinien wyrażać się fizyk według jego nauczycielki fizyki z gimnazjum – poczuł ból głowy o niewyobrażalnej sile. Po chwili leżał na ziemi, twarzą zwróconą do podłogi. Nic nie słyszał. Ból stawał się coraz silniejszy. Był tak duży, że nie mógł nic powiedzieć ani usłyszeć. Nie wiedział, czy to halucynacja, czy realistyczny sen. Jedno było pewne. Ból stawał się jeszcze silniejszy. Z oczu poleciały mu łzy, jedna po drugiej. Dostał drgawek. Był pewien, że dochodzą do niego, pomimo głuchoj ciszy w jego głowie, krzyki przerażenia Klingelfeina. W końcu powieki stawały się coraz cięższe, aż zamknął oczy. Dla niego była to wieczność, a dla wychowawcy zaledwie dwie sekundy.

\* \* \*

Cluziv leżał na łóżku u higienistki szkolnej. Oczy miał zamknięte. Nie dawał żadnego znaku życia.

– Zemdlął? – W końcu dotarło do jego uszu.

– Tak mi się wydaje – powiedział znajomy męski głos. – Powiadomiłem już jego matkę. Będzie tu za kilka minut. Musiała zwolnić się z pracy.

– Jak do tego doszło, Ericku? – zapytała kobieta, której głos Cluziv już wcześniej gdzieś słyszał. – Dlaczego byłeś z nim sam w klasie?

– Sądzę, że to nieodpowiednia chwila, by o tym rozmawiać, chyba lepiej poczekać, aż przyjdzie Joanna... To znaczy jego matka. Nie będę musiał tego powtarzać dwa razy. A to dość długa i interesująca historia.

– Żartujesz sobie?! – wykrzyczał ktoś jeszcze, także kobieta, której piętnastolatek – był pewien – nie znał. – Jak mam mu pomóc?! Może mu coś jest. A ty nawet nie chcesz powiedzieć, co się wydarzyło! Przypominam, że już zdarzyło się, że miałeś konflikt z prawem.

– Jak śmiesz mi to przypominać? Pani dyrektor zaręczyła wtedy za mnie, bo przecież byłem z nią, gdy doszło do poprzedniego incydentu.

Do uszu Cluziva dobiegł w tym momencie dźwięk otwieranych drzwi.

– Co się stało mojemu synowi? Jak on się czuje? – To jego mama Joanna właśnie weszła do pokoju higienistki. – Czy... Co właściwie się stało z...

Spojrzała po twarzach obecnych w sali i utkwiała wzrok w wychowawcy Cluziva. W tym momencie Cluziv jakby obudził się ze snu. Nie mógł jednak otworzyć oczu ani poruszyć choć jednym palcem. Czy jestem sparaliżowany? Dlaczego nie mogę się ruszyć? Mamo! – krzyczał w duchu. Nikt go nie słyszał. Joanna spojrzała w końcu na higienistkę i zapytała drżącym głosem:

– Co się właściwie stało?

– Też jestem tego ciekawa! – wykrzyknęła kobieta dosyć groźnym głosem, patrząc na Ericka Klingelfeina. – Teraz już nie masz wyboru! W końcu z łaski swojej powiedz, co się stało.

Wychowawca wciąż ubrany na biało spojrzał jeszcze raz na dyrektorkę i na Cluziva. Po chwili namysłu rzekł ochryplym głosem:

– Zapytał mnie o to, gdzie jest sala matematyczna... I wtedy... no... zemdlął.

Co?! Nic takiego się nie wydarzyło! To brednie! Dlaczego pan kłamie, proszę pana?! – krzyczał w duchu, a może w swoim ciele Cluziv, wciąż nie mogąc się ani ruszyć, ani ujrzeć czegokolwiek z tej sceny, która go otaczała.

– Co?! Tak po prostu zemdlął? Dlaczego miałby cię pytać o salę, skoro miał równą godzinę i innych uczniów, by to samemu odkryć!? – wrzeszczała higienistka.

– Spokojnie! – zarządziła dyrektorka. – Tylko spokojnie! Nie poznaję was, ale rzeczywiście ta historia wydaje się dość dziwna... – odrzekła, wpatrując się prosto w oczy Ericka.



– Prawda? Dość zaskakujące... Gdzie złożyć wniosek?

– Wniosek?! – zapytała jakby z niedowierzaniem higienistka oziębłym głosem. – WNIOSEK?! Jak śmiesz pytać o wniosek, jak uczniowi grozi niebezpieczeństwo. Nie wiemy, co mu dolega, a nie sądzę, by było to zwykłe zasłabnięcie, po tym jak wygląda jego cera!

– O tak! Bo cera ma jakieś znaczenie w tym wszystkim!

– Chyba w tym momencie kwestionujesz mój autorytet, Ericku! – wykrzyknęła, ile miała sił w kobiecych płucach higienistka. – I moje doświadczenie!

– DOSYĆ! – Dyrektorka spojrzała na oboje spode łba. – Co to ma znaczyć!? Jeszcze chwila, a zawieszę was do wyjaśnienia całej sprawy! Pamiętajcie, że...

– To nie będzie konieczne – przerwał jej szybko wychowawca Cluziva.

– Co przez to mam rozumieć, Ericku? – zapytała przełożona.

Mężczyzna nie odpowiedział. Drzwi, które dotąd były uchylone, najpierw się otworzyły zupełnie, a potem zamknęły z trzaskiem. Same mimo woli. Wszystkie trzy kobiety spojrzały na nie, jakby nie rozumiejąc, co się właśnie wydarzyło. Jedynie Klingelfein stał nieruchomo z twarzą wpatrzoną w Cluziva, którego objął jakiś wewnętrzny lęk, a także ból nie do wytrzymania. Miał wrażenie, że jego głowa zaraz eksploduje. Spod zamkniętych oczu wyłynęła nawet jedna łza, lecz nikt tego nie zauważył, oprócz Ericka – jego wychowawcy – bo trzy kobiety wciąż wpatrywały się, nawet nie mrugając, w Klingelfeina. Cluziv poczuł, jak zatykają mu się uszy. Wrzeszczał z całych sił, lecz w środku swojego ciała, jakby w myśli, bo na zewnątrz nie wydobył się żaden dźwięk.

– Erick! Co ty wyprawiasz?! – Do Cluziva doszedł ten głos, pełen przerażenia i lęku.

Usłyszał, jak coś zwała się na ziemię. Dźwięk rozbijanej szyby, a także straszliwy wrzask jednej z kobiet, który rozpoznał. To była jego mama – Joanna:

– Jaaak?!

Nagle usłyszał głośny świst, jakby ktoś zagwizdał, a potem... wszystko umilkło... Poczuł, że zasypia, a ból głowy wciąż narasta. W końcu usnął...

\* \* \*

Joanna otworzyła oczy. Mężczyzna podający się za Ericka Klingelfeina wpatrywał się teraz prosto w jej twarz. Była cała złana potem ze strachu. Erick był ubrany w swoją białą kapotę i białą pelerynę na plecach, a wiatr to ją unosił, to zaraz pozwalał opaść jej na ziemię. Stał w bezruchu. Joanna rozglądała się po okolicy. Wisiła tak, jak poprzednio jej mąż w powietrzu, lecz bez żadnego przytrzymywania kończyn gałęziami lub czymś podobnym. Nie zmieniło to jednak faktu, że nie mogła się ruszyć.

Zauważyła, że dość spory pęk – jeżeli można tak to nazwać – liści, leży pomiędzy Erickiem a nią, wiszącą tuż nad ziemią z rozdartymi na oścież rękoma. Nie była to jesień. Więc i nie był

to czas, by na ziemi leżały liście. W dodatku całkowicie brązowe. Utkwiła wzrok w drzewach znajdujących się za Klingelfeinem. Były na nich zupełnie zielone, trochę wiosenne, liście, które wiatr wprawiał w ruch, dzięki czemu dało się usłyszeć lekki szmer lasu. Nigdzie indziej – przynajmniej wokół nich – nie leżały na ziemi liście, a na pewno nie brązowe. Spojrzała w górę, jakby nic ją nie obchodziło. W jej oczach Erick nie mógł ujrzeć strachu ani lęku, co wprawiało go w lekki stan osłupienia. Mocno lśniło słońce. Promienie świetlne padały na cały las. Do uszu dochodził śpiew słowików, a także łamiących się gałęzi. To pewnie zwierzęta, chociaż teraz są szczęśliwe – pomyślała Joanna. – Jak tu pięknie. To dobre miejsce, by umrzeć. Spojrzała w końcu na twarz „biafasa” – jak lubiła na niego mówić w czasach szkolnych. Co znowu ten idiota wymyślił? Zresztą nie powinno cię to obchodzić. Pomyśl o Cluzivie – wmawiała sobie w duszy. – On teraz cierpi. Jeżeli rzeczywiście przekazał mu ten... A zresztą po tylu latach... Teraz trzeba zacząć rozmowę jakoś w taki sposób, by zabił mnie od razu... Hm... Może nazwę go idiotą? A może zdrajcą rodu? Nie... Co może mu się nie spodobać?

Erick Klingelfein jakby wyczuł jej zamiary, bo w końcu delektując się tą chwilą, zrobił krok w stronę wiszącej nad ziemią, a może lewitującej, Joanny. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Na co ci to wszystko? CO?! – Joanna nie wytrzymała. – Dlaczego to robisz?

Klingelfein wyjął z wewnętrznej kieszeni kaftana swój lśniący, nawet w dzień, bielszy od zwykłej bieli, długopis. Nie odpowiadając na pytania kobiety, skierował go prosto w pęk liści leżących bez ruchu. Zastygł na chwilę. Zapanowało kilka minut głuchej ciszy, które przerywał dość często szelest ściółki leśnej. Joanna kontynuowała.

– Uważasz, że sława i potęga są ważniejsze od prawdziwej miłości i rodziny, tak? – westchnęła, starając się nie płakać. – Jak mam ci wytłumaczyć, byś odczepił się w końcu od mojej rodziny i założył własną! – Nie wytrzymała emocji. Zalała się łzami, mrużąc coś pod nosem.

Ericka najwyraźniej poruszyło jej szlochanie, bo oderwał wzrok od liści i spojrzał na jej przepiękną twarz. W końcu przemówił dość zimnym, lecz opanowanym tonem:

– Jesteś na tyle mądra, że potrafisz domyślić się, do czego zmierzam. Możesz oszczędzić sobie trudu i przestać zadawać pytania. – Objął ją teraz chłodnym spojrzeniem. – Zanim zacznę prawdziwą ucztę dla mego podniebienia, chcę, żebyś coś zobaczyła. Jesteś gotowa?

Joanna milczała. Patrzyła na niego wzrokiem, który jasno dał mu do zrozumienia, że go nienawidzi z całego serca i całej duszy.

– Uznam twoje milczenie za zgodę i wyrozumiałość – rzekł biały „F”izyk. – To co, zaczynam.

Nadal panowała cisza. Jakiś słowik przeleciał tuż nad głową Klingelfeina. Żadne z nich nie zareagowało. Wpatrywali się w siebie. Joanna wzrokiem groźnym, lecz bardzo kobiecym, co mógł rozpoznać tylko wyjątkowy na swój sposób „F”izyk. Erick uśmiechnął się do niej szyderczo, po czym znów uznał ciszę, która wciąż panowała, za zgodę. Ponownie skierował długopis w stronę „pęku” liści na ziemi.

– No dobrze... Już dobrze... – westchnął z całych sił. – Chcę, abyś spojrzała przed całym spektaklem na swego ukochanego. Zdrajcę niegdyś naszego, a dzisiaj mojego rodu! Jak mogłaś być tak głupia?

Joanna w końcu postanowiła przemówić drżącym, lecz nie ze strachu, głosem:

– Są rzeczy ważniejsze od wiedzy. Nigdy nie zrozumiesz, jak to jest kochać. A nie być jedynie zauroczonym – lekko uśmiechnęła się do niego.

Najwyraźniej wprawiło to Ericka w szaf. Bo liście zmieniły swoją barwę na szarą. Jakby zwiędły. To nie był wynik zwykłej przyrody. Liście nigdy nie przybierają takiego koloru. Wpatrzył się najpierw w liście, potem w twarz Joanny. Następnie znów spojrzął na liście i rzekł donośnym głosem:

– *REVELES!*

Echo rozniosło się po całym lesie. Oboje – Erick i wisząca w powietrzu kobieta – wpatrywali się w liście, które unosiły się jeden po drugim, wzbijając się w powietrze. Potem odlatywały w dość szybkim tempie. Z dość małego pęku liści uleciało po chwili ich tyle i w takim tempie, jakby było ich tam kilka tysięcy. Joanna spojrzała w niebo. Liście znikają za koronami drzew. Uśmiechnęła się w duchu i opuściła wzrok. Za to Erick spojrzął jej w twarz. Ta natychmiast zalała się łzami, mrużąc coś pod nosem.

Erick podszedł do miejsca, w którym znajdowały się przed chwilą liście. Kobieta z przerażeniem znów spojrzała w dół. Na miejscu liści leżało ciało. Było to ciało mężczyzny. Jej męża – Johna. Zaczęła jeszcze głośniejsze płakać. Nie mogła jednak przestać patrzeć na ciało. Leżało, nie dając żadnego znaku życia.

Klingelfein zdjął buta od galowego stroju, po czym przyłożył bosą stopę do głowy martwego Johna. Zaczął tą stopą ją szturchać. Spojrzął na Joannę, ta jednak wciąż płakała, spoglądając na męża.

– Ooo... Jakież to wzruszające. To powinna być nauczka dla tych wszystkich, którzy kiedykolwiek podważyli moją siłę i potęgę. I wiedzę! – ryknął na cały las Erick. Teraz uniósł długopis w stronę zachmurzonego nieba. Wystrzeliła z niego mała czerwona iskra, po czym zawirowała w powietrzu i filmowała całą scenę. – Zaraz po tym, jak skończę, wyślę tego anegdoida do Centrali „F”izycznej. Wszyscy rozumieją, że powracam! Wszyscy się ucieszą!

Joanna sprawiała wrażenie, jakby nic ją nie obchodziło. Było jej obojętne, czy zginie teraz, czy za pięć minut... a może dopiero za godzinę... za dobę? Nie miała chęci żyć. Wiedziała, że Erick i tak będzie ją ścigał. Po chwili do jej uszu dobiegł jednak wrzask rozmowy Ericka – z jak się później okazało – martwym ciałem Johna:

– ...Byłeś taki naiwny! Dobroduszny! – Zachichotał pod nosem. – I na co ci to wszystko? Skoro byłeś na tyle głupi, że się nie nauczyłeś nawet bronić! Ty podły, wyrefinowany, bezczelny i niechlujny „f”izyku...

– Zamknij się! Stul dziób! Zamkniesz w końcu swoją nadętą mordę! – przerwała mu Joanna. – Całe życie słyszę twój głos... jeszcze zanim mnie zacząłeś uczyć! Obrażasz każdego, kto wolał wybrać spokojniejsze życie. Pozbawione tego, co prowadzi do ciągłej nienawiści. Jak śmiesz mówić to martwemu. Dlaczego nie mówisz tak do swojego rodzeństwa! Bateś się ich! Bateś się stanąć do walki z nimi twarzą w twarz! Jesteś TCHÓRZEM! Gorszym od normalnego „f”izyka. Nie jesteś godzien uważać rodu „F”izyków za swoją własność. – W końcu przerwała, lecz nie z własnej woli.

Erick skierował w nią długopis i tak jak jej męża „spoliczkował”. Trzykrotnie. Z coraz większym zamachem, zwiększając też siłę oddziaływania cząsteczek z jej policzkami. Po tym Joanna nie odważyła się powiedzieć ani słowa, lecz nie ze strachu, ale ze zmęczenia. Od trzech dni nie zmrużyła oczu. Oczekiwała bowiem napowrót męża. Wiedziała, że coś musiało się stać. Miał wrócić z delegacji już tydzień temu... Te rozmyślenia przerwał jej ryk Klingelfeina:

– Myślę, że już się pożegnałaś ze swoim mężulkiem – zaśmiał się Erick. – To teraz rozpoczniemy spektakl... O tak! To wynagrodzi moje cierpienia przez wszystkie te lata, odkąd mnie zostawiłaś... Nagrywasz to? Zbliż się... zbliż się! Chcę, żebyś dobrze to wszystko ujął! – Zwrócił się do anegdoida, krążącego wokół nich, potyskującego w świetle słońca, które prześwitywało niekiedy pośród chmur na niebie.

– No to co? Od czego mam zacząć? Jakieś specjalne życzenia?!

– Rób, co musisz, i zabij mnie. I tak wiem, że to zrobisz – odrzekła Joanna obojętnym tonem.

Spojrzała w niebo na znak ignorancji jego słów. Całość tak wkurzyła Klingelfeina, że wrzasnął na cały głos, po czym założył swój, również biały, but. Odszedł nieco od Johna, wciąż wpatrzony w Joannę. Skierował w lewitującą nadal nad ziemią kobietę swój długopis. Jej tułów wciąż pozostał w takiej samej pozycji, za to ręce wraz z nogami się rozszerzyły. Przypominała teraz żywą tarczę wiszącą nieco nad glebą.

Erick uśmiechnął się, po czym podrzucił bardzo wysoko swój długopis. Długopis zawirował wysoko nad nimi. Przestał się kręcić i upadł na ziemię, lecz nie był to już długopis. Niebo się rozchmurzyło. Przedmiot, który spadł na ziemię, odbijał promienie słoneczne i oślepił kobietę. Ta skrzywiła twarz na znak bólu. Nie wiedziała, czy Erick uczynił to specjalnie. W końcu Klingelfein schylił się i podniósł błyszczący w blasku słońca przedmiot. Kiedy się wyprostował, Joanna dostrzegła, że jest to zwykły, miecz o srebrno-złotym ostrzu, zakończony ostrą jak igła końcówką. Na twarzy Klingelfeina pojawił się uśmiech. Joanna poczuła, że rozpiera go duma, więc odrzekła szybko:

– Zwykły mieczyk, ha! Nic specjalnego po tym, co kiedyś mi opowiadałeś, myślałam, że stać cię na więcej...

– No tak... teraz zwykły ostry jak brzytwa mieczyk... ale zaraz ten mieczyk stanie się... narzędziem twoich tortur – oświadczył Erick. – Pragnę cię poinformować, że NASZ syn ma

już rdeń. I to taki sam jak mój. Czekam, aż przybędzie po niego ktoś z Centrali, ha! Ależ to cudowny dzień... Byłby jeszcze lepszy, gdyby nie ten zasrany uczeń, z którym siedział Cluziv w ławce... Wrócił do klasy. Cluziv leżał na podłodze! Co miałem zrobić...

– Mówisz sam do siebie? – odpowiedziała Joanna, spoglądając na twarz, która budziła w niej obrzydzenie. – Z chęcią posłuchałabym... ale, że tak to ujmę... NIE ZA WYGODNIE LEWITUJE SIĘ, OCZEKUJĄC NA ŚMIERĆ! WIĘC Z ŁASKI SWOJEJ MOŻE BYŚ W KOŃCU ZACZAŁ TEN SWÓJ SPEKTAKL!?

Erick nagle ożył i przybliżył się do wiszącej bezwładnie Joanny, jednym gestem ręki spowodował, że jej ciało znalazło się na wysokości jego oczu. Bezwładne ciało kobiety nogami dotykało podłoża. Mężczyzna zacisnął dłoń na ostrym mieczyku i zaczął swoją zabawę. Odcinał właśnie jej ucho z takim uśmiechem na twarzy, jakby czekał na to całe życie. Ta zawyła jak zwierzę, lecz ani drgnęła. Nie była w stanie. Wykorzystanie cząsteczek jej ciała było zbyt silne, a raczej ich wzajemne komunikaty. Dlaczego tak się działo, mógł zrozumieć tylko najbardziej doświadczony „F”izyk. W końcu Erick odciął jej całe ucho. Krew obficie tryskała z tej rany. Joanna nie przestała krzyczeć z bólu. Nic w tym dziwnego. Jej krzyk zmobilizował jednak Ericka do dalszego działania. Porozcinał jej kilkakrotnie z lekka policzki. Byli w środku lasu i nikt nie słyszał jej cierpienia.

– Krzycz! Krzycz! – wysapał Erick. – I tak nikt cię nie usłyszy. To silne oddziaływanie. Zapomniałaś? – Roześmiał się bardzo głośno.

Joanna krzyczała coraz głośniej. Klingelfeinowi jednak nie wystarczał jej ból fizyczny. Odczuł potrzebę dręczenia kobiety psychicznie. Odsunął się i podrzucił wysoko swój ostry jak brzytwa mieczyk. Przedmiot zawirował, a kiedy spadł, ponownie był długopisem. Jego nowym białym narzędziem uderzył kobiety. Podniósł go i przyłożył jego koniec do czoła Joanny. Natychmiast wykrzyknęła z jeszcze większego bólu. Odczuła, jak ból przenika całe jej ciało. Przed oczami ukazywały jej się najstraszniejsze przeżycia, jakich doznawała z perspektywy trzeciej osoby. W przemijających scenach ujrzała nawet, jak po raz pierwszy spotkała osobę, która jeszcze przed chwilą odcięła jej ucho. Ból stawał się coraz mocniejszy. Nie przestawała krzyczeć. Erick splunął jej w twarz, ale ta nie poczuła tego. Ból w głowie i ciele był zbyt silny, by odczuć cokolwiek innego. Nagle... ból ustał... jej oczy znowu widziały tę samą scenę... Poczwała, że coś splywa po jej twarzy. Była to ślina Ericka. Uniosta głowę znad ziemi i ujrzała Klingelfeina, który teraz w ręce trzymał ostry topór. Nie wiedziała, co ją zaraz spotka. Jej ramiona i nogi nadal były rozwarłe szeroko. Erick odsunął się od niej na odległość topora skierowanego ostrzem w jej ciało. Kompletnie bezbronne. Usłyszała nawet dźwięk bryczki konnej, która pewnie jechała po dróżce gdzieś niedaleko.

Nie ma sensu nawet krzyczeć – pomyślała. – Przecież cząsteczkowe oddziaływanie, którego użył, powoduje próżnię wokół danego terenu. A w próżni dźwięk się nie rozchodzi. Dlaczego

w takim razie słyszy bryczkę? Aa... tak... sam jej to tłumaczył... Teraz sobie przypomniała czasy szkolne...

Erick, jakby nie przejmował się tym, że Joanna jest myślami gdzieś daleko. Toporem ucinął kolejne gałęzie...

No tak! Przecież oddziaływania, których użył, powodują przepływ fal podłużnych (mechanicznych i dźwiękowych) w jedną stronę, czyli dźwięk może wchodzić przez próżnię od zewnątrz, ale żaden dźwięk nie przejdzie przez próżnię na zewnątrz od środka... Koniec nadziei. Już czuła, jak się wykrwawia. Było jej coraz zimniej.

Klingelfein też to dostrzegł, bo znów stanął przed Joanną z wyciągniętym w jej kierunku ostrym, bardzo ostrym, toporem... Więc już koniec jej męczarni... Ucieszyła się... To było najlepsze, co mogła sobie wymarzyć... Już nie cierpieć, tylko żeby dał jej umrzeć... Jak każdy normalny „f”izyk. Zwykły śmiertelnik. Erick wziął bardzo duży zamach... i... TRZASK! Odleciała jej prawa ręka. Krew zaczęła wypytywać z jej przeciętego całkowicie ramienia.

Uciął mi rękę?! – pomyślała i w tym momencie dotarł do niej ból. Zakrzyknęła z bólu jeszcze mocniej niż kiedykolwiek. To na nic... On mnie wykończy... Krew zaczęła wypełniać jej usta... Czuła, że umiera... Cieszyła się z tego... Choć śmierć nie wróży nic dobrego.

Znowu w jednym uchu usłyszała TRZASK. Krzyknęła z jeszcze większego bólu. Odciał jej prawą nogę. Upadła na ziemię. A raczej to co z jej ciała pozostało. Coraz więcej krwi wypływało jej z ust... zaczęła się dusić... przestała wyc z bólu. Erick szybkim krokiem odsunął się od tego, co z niej pozostało. Szybko podrzucił topór, ten zawirował, spadł na ziemię już jako biały długopis.

Z Joanny pomatu uchodziło życie. Udusiłam się? Nie... jeszcze chwilę pocierpię. Wiedziałam... że doświadczę tego rodzaju cierpienia... Do zobaczenia, synku w przyszłości... Pomyślała o Cluzivie. Zaciśnęła powieki. Oby Dorota się tobą zajęła...

Erick Klingelfein krzyknął ostatecznie:

– *INERCJA!*

Biała kropka wystrzeliła jak z armaty z jego długopisu. Przyleciała do ciała Joanny zwijającej się z prawie całkowitego wykrwawienia i najsilniejszego bólu, jaki może przeciętny człowiek sobie wyobrazić. Mimo pełnej buzi krwi, wręcz obficie wylewającej się z niej, wydała z siebie ostatni już okrzyk. O bardzo dużym napięciu:

– *CLUUUUUUUUUZIIIIIIWV!*

Zastygła bez ruchu. Przynajmniej to, co jeszcze do tej pory trzymało się sztywnie jej ciało. Na twarzy Ericka Klingelfeina, która cała była we krwi Joanny, pojawił się szyderczy uśmiech. Przybliżył się do jej martwego ciała. Z dumą i zadowoleniem z siebie stawiał każdy kolejny krok po ziemi swoimi białymi garniturowymi butami – wyjściowymi jednocześnie. Nachylił się nad ciałem. Ujrzał anegdoida, który wszystko kręcił. Teraz sobie o nim przypomniał.

– Nagrałeś? Masz to? – zapytał, spoglądając na anegdoida.

Ten natomiast nie umiał mówić. W końcu nie jest czymś, co jest dla fizyków... Ciałem żywym. O ile można tak powiedzieć. Nie był pewny, więc wołał o tym nie myśleć. Anegdoid uniósł się najpierw, a potem skierował w dół, wracając na swoje początkowe miejsce. Erick najwyraźniej uznał to za potwierdzenie.

– Dobrze... A teraz zbliż się do mojej twarzy...

Anegdoid wykonał posłusznie polecenie.

– Kreć dalej! Kręcisz? – pytał Erick. – No to dobrze, że tak. Inaczej już byś nie fruwał...

– A teraz do wszystkich tam, rządzących – rzekł w końcu Erick. – Wróciłem! SŁYSZYCIE? WRÓCIŁEM! STUPROCENTOWY RDZEŃ WRACA! Z jeszcze większą potęgą i rozumem! Haha-ha! Nic mi już nie przeszkodzi odzyskać władzy... Lepiej się przygotujcie. Masz to? Uchwyciłeś?

Anegdoid znów wykonał ruch, jakby przytakiwał.

– Teraz wiesz dokąd lecieć. Przekaż im to razem z tym całym spektaklem, tu w lesie. No już!

Anegdoid zniknął, wzbijając się w powietrze za koronami drzew.

## „F”izyk, a może „f”izyk?

---

Po bardzo długim czasie chłopak otworzył w końcu oczy. Mimo „odpoczynku” czuł się fatalnie. Nie mógł się na niczym skupić. Był zbyt wykończony nawet teraz, po trzech tygodniach leżenia w łóżku. Przewracał oczami po suficie. Błady oparł się na rękach i spojrzał na swoje ubranie. Było białe, tak jak pokój. Poczł zapach szpitalu, który wprawiał go w niemite doznania. Nie polubił tego. W sali był tylko on. Samotny jak palec. Obok niego stało co prawda drugie łóżko, ale... puste. Nagle poczuł ogromny ból głowy. Chwycił się za nią i z powrotem położył na poduszkę. Zaczł się wiercić, uronił kilka łez. Ból był ogromny, ale mniejszy niż ten, który poczuł wtedy, w sali lekcyjnej, kiedy jego wychowawca... dotknł jego głowy. Teraz sobie to przypomniał, patrząc załawionymi oczami w biały sufit. Nagle ból ustał. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Znowu oparł się na rękach. Spojrzał w prawo na okno. Za oknem było tak pięknie...

Nadal lśniło słońce, tak jak wtedy, kiedy mama objęła go rękoma. Marzył tylko o tym, by znowu objęła go swoimi matczynymi siłłami. Niczego bardziej nie pragnł. No może oprócz tego, by po wyjściu stąd pójść ponownie na stadion, na mecz, wraz z tatą – Johnem.

Zaraz... Dlaczego tutaj jestem? Dlaczego sam? Czy coś się stało? Jak długo tutaj leżałem? I gdzie są moi rodzice? Jego głowa była pełna pytań.

Wtedy, pierwszego września, nie wiedział, co się stało. Był odosobniony, nikt nie wiedział, nawet lekarze. Cluziv uśmiechnął się w końcu. Przeniósł wzrok ze światła za oknem całego w promieniach słońca. Znowu przeleciał wzrokiem po sali. Jakoś zapięły go oczy. Zamrugał kilkakrotnie. I to nie pomogło, więc zaczął je przecierać. Poczł ulgę. Otworzył je i wtedy prawie podskoczył. Przed jego szpitalnym łóżkiem stał jego wychowawca – Erick Klingelfein. Zamrugał znowu, ale on nadal na niego patrzył. Desperacko zaczął przecierać oczy, tym razem nie odważył się ich otworzyć. Pomyślał o zajściu w klasie, kiedy opuścił ją Henryk i zostawił go sam na sam z Erickiem. Groźnym tonem zapytał, wciąż przecierając oczy:

– Co się właściwie stało? Psze pana?



Nikt mu nie odpowiedział. Otworzył oczy. Teraz nikt nie stał przy łóżku. Rozejrzał się po sali ponownie. Nikogo nie było. Zamyślił się. Po chwili namysłu uznał to za zwykłe przywidzenie. Cieszył się z tego. W jego głowie kłębił się nadmiar pytań, które chciałby zadać rodzicom, Klingelfeinowi i ogólnie wszystkim. Lecz pokój wypełniała pustka i przerażająca cisza. Dlaczego... To znaczy jak... Co się właściwie stało? Nie potrafił tego pojąć. Nie mógł się doczekać, gdy ktoś wytłumaczy mu zdarzenia z pierwszego września.

Powoli zaczęła go irytować nieustająca cisza. Z nudów nucił melodię hymnu liceum. Słów nie znał. Zaśmiał się w duchu, gdy przypomniał sobie słowa dwóch chłopaków stojących obok niego na sali gimnastycznej. Mieli rację. Klingelfein jest dziwny. Kto normalny chodzi cały czas w białym stroju? W dodatku prosi ucznia o pokazanie mu znamienia. Teraz jak o tym pomyślał, zrozumiał, że mimo wszystko nie powinien na to przystać. Poza tym Erick coś pokręcił... Najpierw mówił, że znamię ma tata... a potem, że mama. Albo na odwrót? Może tylko mu się zdawało.

Do jego uszu doszedł odgłos wyraźnych kroków na korytarzu. Były coraz głośniejsze, więc osoba, która je mogła wywoływać, musiała się zbliżać.

Może to rodzice? Nie... To tylko pojedynczy odgłos. To jedna osoba. To może lekarz? Podekscytowanie wzięło górę nad rozumem. Zaraz się wszystkiego dowie! Zaraz pozwolą mu zobaczyć się z rodzicami. Ogarnęła go radość, którą nie sposób byłoby mu opisać na wypracowaniu w szkole. Odgarnął kołdrę i wstał z łóżka, stawiając bose stopy na lodowatej szpitalnej podłodze. Nagle dźwięk kroków ustał. Drzwi od pokoju się uchyliły, skrzypiąc przy tym niemilosiernie. Ale to mu nie przeszkadzało. Podekscytowanie sytuacją było zbyt duże. Nic nie mogło popsuć jego euforii. Do pokoju, w którym „na bosaka” stał nastolatek, wpadł gęsty dym. Gdy osłabł, Cluziv ujrzał mężczyznę z krótką bródką. Miał czarne, gdzieniegdzie poprzetykane siwizną włosy. Był ubrany na czerwono – dosyć dziwnie to wyglądało na pierwszy rzut oka. Nosił nawet krwioście czerwone buty, a raczej kaptcie. Z jego ramion zwisała – również czerwona – peleryna. Miał bladą cerę. Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech. Cluziv za to patrzył w jego zielone oczy z przerażeniem i lękiem. W końcu gość zrobił dwa kroki do przodu, zbliżając się pomału do Cluziva.

Chłopak z lęku przed nieznanym znów usiadł na łóżku. Drzwi trzasnęły z hukiem i rozległ się szmer. Mężczyzna zbliżył się do nich z wyciągniętą ręką. Kiedy ich dotknął, zamruczał coś pod nosem. Cluziv nie usłyszał, co konkretnie, ale po chwili szepty ustały, a mężczyzna zbliżył się do Cluziva na wyciągnięcie ręki, uśmiechając się.

Nastolatek wciąż siedział na łóżku i patrzył na osobę, która budziła w nim nieznaną dotąd uczucia. Mężczyzna usiadł obok. Po chwili ciszy rozległ się dość donośny jego głos:

– Witaj, Cluzivie. Jak samopoczucie? Nadal boli cię głowa?

Cluziv wpatrywał się w jego zielone oczy. Po chwili namysłu rzekł jednak z obawą:

– Przepraszam, ale ki-i-i-m... pan... jest? – wyjąkał.

– O wybacz. Oczywiście. Nie przedstawiłem się tobie, młody „F”izyku – zaakcentował starszy facet z uśmiechem na twarzy. – Nazywam się Admiros Ignispotestatem. Jestem jednym z członków Komisji Nadzorczej. Dbam o porządek w edukacji „F”izyków – znów zaakcentował. – Ale teraz obchodzi mnie twoje samopoczucie. Powiedz, czy coś ci dolega?

Cluziv patrzył ze zdziwieniem. Nigdy nie słyszał trudniejszego do zapamiętania nazwiska. Postanowił wyrazić to, jak się czuje pytaniem. Nie znał bowiem mężczyzny:

– A jak według pana czuje się ktoś, kogo od dłuższego czasu boli niewyobrażalnie głowa, że prawie wyje jak zwierzę z bólu, a potem przestaje, gdy mruży oczy? – powiedziała, po czym zdał sobie sprawę, że właściwie udzielił informacji, których nie chciał ujawnić.

Mężczyzna zaśmiał się pod nosem:

– Rozumiem – odparł. – Rozumiem, że się mnie boisz. Nie masz czego. Twój były wychowawca zniknął. Nie ma po nim śladu... no przynajmniej... na razie...

– Chyba nie za bardzo rozumiem... Proszę pana – dodał pośpiesznie Cluziv.

– Po pierwsze nie musisz się do mnie zwracać formą „proszę pana”. Przynajmniej na razie – rzekł Admiros. – A po drugie... To świetnie, że ból ustał. I wcale nie musisz rozumieć tego, co się niedawno zdarzyło. No... niedawno... – zamyślił się mężczyzna. – Co prawda to było prawie trzy tygodnie temu... Ale... Przynajmniej nie wszystko od razu.

– Co to znaczy? – zapytał niepewnie piętnastolatek.

– Nic. Nic. No dobra... – rzekł po chwili mężczyzna. – Powiem ci dość dużo tutaj. Choć nie powinienem, ale czuję, że gdzieś w głębi duszy bardzo potrzebujesz poznać bieg wydarzeń. – Cluziv zamyślił się na chwilę, ale Ignispotestatem ciągnął dalej wyraźnym tonem: – Co pamiętasz z tego, co wydarzyło się pierwszego września, Cluzivie?

Chłopiec zamknął oczy, jakby chciał sobie wszystko dobrze przypomnieć. Rzeczywiście poskutkowało. Zobaczył w myślach, jak opuszcza dom, idzie do nowej szkoły. Usłyszał w głosie słowa matki. Do teraz nie wiedział, co o nich myśleć. Zresztą, gdzie oni są? – pomyślał sobie. – Przecież ja tu rozmawiam z jakimś Ignispotestatem, a nawet nie wiem, co się dzieje z rodzicami. Czy tata wrócił z delegacji? Jeśli tak, to gdzie jest? I gdzie jest mama?

– Cluziv? – zapytał z zaniepokojeniem wcześniej wspomniany w myślach chłopaka Ignispotestatem.

– To znaczy – wyjąkał chłopak. – Ale chwila, co to jest ta Komisja... I gdzie są moi rodzice? Dlaczego nie ma ich tutaj? Tylko rozmawiam z panem o czymś, czego nie wiem. Czy to ma jakikolwiek sens?

Admiros zapatrzył się na niego i widząc, że Cluziv chce znów coś powiedzieć, odpowiedział pośpiesznie:

– Spokojnie. Nie musisz się mnie bać. Ale skoro rzeczywiście jest to dla ciebie tak ważne, to mogę zacząć od tej gorszej wiadomości – rzekł mężczyzna, któremu uśmiech zszedł z twarzy.

– Cluzivie. Ból, który odczuwałeś, był spowodowany przez osobę podającą się za Ericka Klingelfeina. W rzeczywistości jest to ktoś inny. Ktoś taki jak ja i od trzech tygodni, jak sądzę, i ty. Nie przerywaj mi – dodał Admiros, widząc, że Cluziv chce zadać mnóstwo pytań. – Daj mi skończyć. Zacznę od tego, gdzie są teraz twoi rodzice... Więc jak ci to powiedzieć... – Mężczyzna się zamyślił. Zapanowała cisza. W końcu rzekł lodowatym głosem: – Nie chcę cię okłamywać. Ostrzegam, że może to źle na ciebie wpłynąć. Z drugiej strony nie chcę byś dowiedział się tego od kogoś innego. – Znow zapadła cisza. – Tylko opanuj emocje.

– Dobrze, proszę pana – rzekł Cluziv. – Proszę mówić.

– Ach... Gdyby to było takie łatwe. Widzisz... Erick Klingelfein znany jest jako bardzo niebezpieczny osobnik, ale pod innym pseudonimem. Jako Bezwładny. Później ci to wytłumaczę. Teraz wracając do Johna i Joanny. Biedni. Spotkał ich straszny los. Czy naprawdę chcesz tego słuchać?

Cluziv z oczami wypełnionymi już łzami odrzekł:

– Tak, chcę! Chcę wiedzieć wszystko! – wykrzyczał.

– A więc słuchaj, a może lepiej... Pokazać ci to... co nam pokazał on.

– Kto?! Co?! Kiedy?! Komu?! Jakim wam?! Dlaczego pokazał?! – wykrzykiwał chłopak.

– Wstań, Cluzivie – rzekł z powagą Admiros. Cluziv wykonał posłusznie polecenie mężczyzny. – Nie pokazywałbym ci tego, ale to jest zbyt ważne dla nas obu. Teraz dotknę twojej głowy, a ty dotkniesz mojej, jasne?

Cluziv przytaknął.

Obaj stali naprzeciw siebie. Cluziv – mimo że młodszy – był nieco wyższy od przybyłego. Mężczyzna przyłożył dłoń Cluziva do swojej głowy, a swoją dłoń ułożył na głowie chłopaka, który poczuł, że ogarniają go lęk i strach. Nie wiedział dlaczego. Po chwili zauważył błysk – był na jednej z gałęzi drzew, patrzył na świat z góry. Był w lesie. Pod nim mężczyzna w białym stroju torturował wiszącą, a bardziej lewitującą nad ziemią... Joannę... Chłopcu serce zabiło mocniej. „Białym” mężczyzną był Klingelfein, a raczej Bezwładny – jakkolwiek głupio to brzmiało. Cluziv patrzył na śmierć matki. Krzyczał, ale nikt go nie słyszał. Nie mógł nic zrobić, był unieruchomiony. W końcu zaczął spadać z gałęzi. Tuż przed zderzeniem z ziemią opadał znacznie wolniej. Łzy też płynęły o wiele wolniej. Kiedy miał dotknąć już ziemi, zniknął przed jego oczu obraz lasu. Znow widział biały sufit, a także pochylającą się twarz Admirosa. Nie przestawał płakać. Ignisopotestatem pomógł mu wstać i usiąść na łóżku. Sam usiadł obok i objął go ramieniem.

– A więc on ją... – urwał.

– Tak... – rzekł spokojnie Admiros. – Ale wiedziała, że to się stanie.

– Czy to znaczy, że ona już nie wróci? – zapytał chłopiec, jakby nie dowierzał w to, co zobaczył. Cały czas przed oczami miał scenę z lasu. – No tak. Właśnie... Nie wróci, a tata? Gdzie

on jest?! – wybuchnął piętnastolatek, jakby go ktoś torturował. Ciągłe był przerażony tym, co zobaczył.

– Twojego tatę spotkał łagodniejszy los niż Joannę... – westchnął mężczyzna. – Ale to nie zmienia faktu, że nie żyje. Twój tata wrócił z delegacji trzy dni przed rozpoczęciem roku szkolnego. Erick, a raczej Bezwładny, porwał go w niejasnych dla mnie okolicznościach. Twój tata nie mógł się obronić... Bezwładny jest za silny. Tak czy inaczej, przez kilka dni w tym samym miejscu, co zamordował twoją mamę, torturował Johna, ale ten nie podał mu waszego miejsca zamieszkania. John... Był wyjątkowy. Inny niż reszta „F”izyków.

Cluziv nie śmiał się odezwać, ale poczuł niesamowicie silne zainteresowanie tym, dlaczego Admiros akcentuje „F”, a niekiedy mówi normalnie „f”.

– Przepraszam... ale... dlaczego czasami tak dziwnie akcentuje pan literę „f”, kiedy wypowiada pan słowo „fizyka” lub jego synonimy i wyrazy do niego podobne? – zapytał zaciekawiony chłopak.

Admiros Ignisopotestatem uśmiechnął się wreszcie i rzekł spokojnym głosem:

– Zapominam, że ty nic nie wiesz... Twoi rodzice nie mogli ci powiedzieć. Każdy z NAS ma rdzeń. – Spojrzył na Cluziva, a widząc jego zdziwienie, ciągnął: – Na pewno słyszałeś teorię, że człowiek wykorzystuje jedynie od siedmiu do dziesięciu procent swojego mózgu. Reszty nie jest w stanie użyć. Tę teorię przedstawili wam nasi byli „F”izycy – znów zaakcentował. – Już ponad półtora tysiąca lat temu w rodzie „F”izyków jeden z wynalazców znalazł sposób, by wykorzystać pozostałe zdolności mózgu. Rdzeń je poszerza. Działa trochę, jak wasze aplikacje – w zależności od tego, ile procentowy masz zaaplikowany, o tyle poszerza się rozwój twojego mózgu. I teraz ci coś powiem... Najsilniejszy rdzeń ma oczywiście, jak się domyślasz...

– Sto procent – dokończył Cluziv.

– Zgadza się, chłopcze – rzekł Admiros. – Do dziś od chwili, kiedy wynaleziono rdzenie, wytworzono tylko jeden stuprocentowy. Otrzymał go król „F”izyków, a potem przekazywał swojemu synowi. Działało to tak przez ponad tysiąc...

– Proszę mówić – rzekł Cluziv. – Jestem ciekawy.

– Wiem, że jesteś ciekawy... – zaśmiał się Admiros. – Przecież od trzech tygodni należysz do tego rodu. Ktoś w końcu zabił króla i podstępem... wykrał rdzeń. Ogłosił się Głównym Protektorem, zastępując urząd króla. Podzielił nasz ród na departamenty, a na czele każdego z nich ustawił swoje rodzeństwo – ludzi, którzy pomagali w zdobyciu rdzenia. Każda z tych osób władała innym żywiołem najlepiej spośród ówczesnych „F”izyków.

– Swoim żywiołem?! – zdziwił się Cluziv.

– Tak. Właśnie tak! Dobrze słyszałeś. Jest pięć żywiołów: Ogień, Woda, Roślinność, Światło i Ciemność. Ile miał rodzeństwa?

– Tak. Pięcioro...

– Widzisz... i tu się mylisz – odparł Admiros, patrząc teraz prosto w oczy piętnastolatka.  
– Było ich czworo. Piątym był sam Główny Protektor. Władał żywiołem Ciemności. Podzielił ród na cztery części. Resztę o tym, co działo się ponad tysiąc lat temu, opowiem ci przy innej okazji. Masz jakieś pytania, drogi chłopcze?

– Proszę pana, gdzie znajduje się ten ród „F”izyków, a gdzie „f”izyków – zaakcentował trochę drwiąco. – I jak to możliwe, że ja do niego należę?

Ignispotestatem westchnął, po czym spojrzął w sufit i powiedział:

– No tak. Nie wytłumaczyłem tego. Więc zacznę od pierwszej części twojego pytania – rzekł Admiros, patrząc już na Cluziva. – Ród „F”izyków tworzą ci, którzy mają rdzeń poszerzający zdolności. Otrzymują go po ukończeniu szkoły – w zależności od wyniku końcowych testów. Na ile procent napisałeś test końcowy, tylu procentowy rdzeń ci wczepiąją. Później możesz dalej się kształcić i wyrobić sobie żywioł. Ale tylko JEDEN. No, a ród „f”izyków tworzą zwykli ludzie, nieposiadający zdolności „F”izycznej, czyli niemający rdzenia. Oczywiście do egzaminów końcowych uczniowie naszego rodu także tego rdzenia nie mają, ale ich rodzice spełniają warunki, by ci się kształcili na prawdziwych „F”izyków. To znaczy oboje mają rdzenie. Tylko że... jest jeszcze jeden ważny warunek, by otrzymać rdzeń – wynik egzaminów nie może być niższy niż pięćdziesiąt jeden procent. Nasza Centrala „F”izyczna uważa, że społeczeństwo naszego rodu potrzebuje tylko wykwalifikowanych i wybitnie uzdolnionych „F”izyków, a nie leni i nierobów.

– Co się dzieje z tymi, co nie mają rdzenia? – zapytał zaniepokojonym tonem chłopak.

– Sądzę, że się domyślasz – rzekł mężczyzna ubrany na czerwono. – Hm? No dobrze. Widzę, że nie. Jak nie otrzymasz rdzenia, masz dwie możliwości. Albo wybierasz śmierć, albo życie w normalnym świecie zwykłych „f”izyków, tracąc prawa społeczności „F”izycznej. To niesprawiedliwe... ale świat nigdy nie był sprawiedliwy...

– Nie odpowiedział mi pan, panie Admirosie, na to, dlaczego ja też jestem nagle „F”izykiem.

– Rzeczywiście nie odpowiedziałem. Kiedy Klingelfein, to znaczy Bezwałdny, oglądał twoją głowę, wszczepił ci rdzeń. To dlatego tak mocno bolała cię głowa... Ale to nie wszystko.

Cluziv poczuł mocne podniecenie, pomimo że jeszcze kilkanaście minut temu widział śmierć własnej matki.

– To nie byle jaki rdzeń. O ile się nie mylę, wszczepił ci taki sam rdzeń, jaki posiada.

– Czyli jaki? – zapytał niepewny Cluziv. Nie wiedział, czy dobrze zrozumiał jego słowa. – Chwila... Czy Bezwałdny nie jest czasem tym, który...

– Oczywiście, że jest – przerwał mu Admiros. – To ten, który ogłosił się Głównym Protektorem, Cluzivie!

– Powiedział pan, że jest tylko jeden taki rdzeń – zamyślił się chłopak. – A przed chwilą przyznał pan jeszcze, że wszczepił mi ten sam rdzeń, co sam ma... To znaczy, że pozbawił się swojego stuprocentowego rdzenia i przekazał go mnie?! Ale dlaczego? Po co miałby to robić?!...

– Spokojnie – wyrwał go z ekscytacji Ignispotestatem. – Nie sędzę, by był taki nierozsądny. Zostawił sobie stuprocentowy rdzeń, lecz wcześniej go sklonował.

– Ale dlaczego? Przecież w takim razie...

– Bezwładny uważa, że jesteś jego synem. Obdarzył cię zaufaniem, Cluzivie. Cierpi psychicznie, bo nigdy nie zaznał miłości. Twoja mama nie odwzajemniła jego uczucia. Dlatego ją tak potraktował... i twojego tatę...

Z twarzy Cluziva zniknęła ekscytacja, a pojawił się na niej smutek.

– Chce, byś wypełnił dla niego pewną misję... Chce, byś kogoś zamordował.

– Kogo?! – zapytał głośno chłopak. – Kogo, panie Admirosie?!

– Mnie – wychrypiął mężczyzna.

– Dlaczego miałbym pana zabić... Albo dlaczego chce, żebym pana zabił?

Admiros Ignispotestatem zaśmiał się i po chwili ciszy, która zapadła, rzekł z uśmiechem na twarzy:

– Bo tylko ja żyję z jego rodzeństwa, pozostałych zamordował... Dasz wiarę? Rdzeń dziewięćdziesięciodziewięcioprocentowy dał radę osłabić „F”izyka z rdzeniem stuprocentowym. Ależ się wtedy zdziwiłem. Kiedyś ci o wszystkim opowiem.

– Pomógł mu pan zabić...

– Tak, ale spokojnie. Nie bój się. Przecież powstrzymałem go, prawda? Zaczął zabijać swoje rodzeństwo, żeby osiąść całkowitą potęgę, moc i wiedzę. Ale jednego nie przewidział. Że pewnego dnia ktoś będzie chciał przywrócić dawny spokój. Tym kimś byłem ja. Mówię ci to nie dlatego, by wzbudzić zaufanie, ale dlatego, że od teraz jedziemy na tym samym wózku.

– To znaczy? – zapytał Cluziv.

– Ha! – zaśmiał się Admiros. – Widzisz, ani ja, ani ty nie chcemy, by ktoś dowiedział się o naszych rdzeniach. Znaczący się o twoim rdzeniu, a o moim żywiole samego czystego ognia. Jakkolwiek to brzmi. Gdyby ktoś dowiedział się o twoim rdzeniu... Zabiliby cię żywiołowcy z Centrali „F”izycznej – westchnął starszy mężczyzna. – No i mnie też.

– Więc co teraz mam zrobić? – zapytał zaniepokojony obrotem spraw piętnastolatek.

– Nic... Po prostu pójdziesz ze mną.

– A... A dokąd?

– Jak to dokąd – zachichotał mężczyzna. – Szkolić się! Przecież od teraz jesteś „F”izykiem. No nie masz wyboru. Jeśli się nie zgodzisz, naprawdę będę musiał cię zabić.

– Nie jesteśmy w prawdziwym szpitalu. Tylko w „F”izycznym, prawda?

– Kiedy się domyśliłeś?

– Wie pan... – westchnął Cluziv. – Jakies pół godziny temu, jak zaczęliśmy tę rozmowę. Gdzie konkretnie rozwija się NASZ ród?

– Wszystkiego dowiesz się w swoim czasie, mój drogi. Obiecay tylko, że nikomu nie powiesz o tym, że masz rdzeń ani o tym, co ci powiedziałem, jasne? To tajemnica.

Cluziv przytaknął głową.

– No... a teraz na Grenlandię... A potem... Zobaczysz. – Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech.

Po drodze ku spiralnym schodom znajdującym się na samym końcu korytarza Cluziv zapytał:

– Panie Admirosie, dlaczego wszystko jest białe?

– O widzisz... – westchnął mężczyzna. – Nie sądziłem, że zapytasz o to tak szybko. Opowiem ci na schodach.

Piętnastolatek spojrzął w górę. Liczba stopni go zaskoczyła, było ich mnóstwo. W głębi duszy cieszył się – miał sporo czasu na zadawanie pytań Ignisopotestatemowi.

– Jak już wiesz, od ponad tysiąca lat wszyscy boimy się powrotu Bezwładnego. Kiedyś prosił ci, jak zdobył władzę. Jak zabijał rodzeństwo... I jak... Walczyłem z nim, by go przegonić...

– Ale udało się panu! – wykrzyczał Cluziv. – Przegonił pan stuprocentowy rdzeń.

Admiros uśmiechnął się i rzekł:

– To fakt. Nie da się jednak ukryć, że miałem ogromne szczęście.

– Ale szczęściu też trzeba pomóc – zauważył Cluziv.

– Zgadza się – zaśmiał się mężczyzna. – Ale nie o zwykłe szczęście chodzi. Chciałeś wiedzieć, dlaczego tutaj jest tak białe – kontynuował Admiros. – Ten budynek wzniesiono, kiedy u władzy był sam Główny Protektor, czyli Bezwładny. Cenił biel. Zresztą do dzisiaj mu to zostało. Dlaczego? Otóż każdy „F”izyk chodzi w szacie odpowiedniego koloru, przynajmniej do pracy. Rozumiesz... Żeby było jasne, jakim żywiołem włada. Na przykład ja jestem żywiołem ognia. Moja szata ma kolor charakterystyczny dla tego żywiołu, czyli czerwony. Nie bój się. W szkole możesz nosić, co chcesz. Do dzisiaj natomiast szpital ten służy byłym „F”izykom, którzy utracili rdzeń przez interwencję medyczną. Część „F”izyków do teraz ma pretensje do Centrali „F”izycznej o to, że pomagamy „f”izykom. Według nich nie zasłużyli na to. Są postrzegani jako zdrajcy rodu. Po ponadtrzyletnim okresie straszliwych rządów Głównego Protektora i po śmierci większości jego ludzi nadszedł czas spokoju. Tak zostało do dzisiaj. Ale teraz – konkretnie około trzech tygodni temu – dostaliśmy od niego wiadomość. Powrócił... i jestem pewien, że jest już w naszym rodzie. Kiedy jego rządy się skończyły, nowe władze nie kazały zmieniać wnętrza tego szpitala. Pozostało białe. Tysiąc lat temu nie było tutaj miasta, które jest dziś. Szpital musi pozostać bezpieczny. Musimy go ukrywać. Zwykli ludzie są tanią siłą roboczą naszego rodu. Będziesz się o tym uczył w szkole. Bezwładny nie tylko zabił swoje rodzeństwo, ale też dosłownie wysałał z nich ich żywioły. Obecnie włada czterema. Piąty jest w moim posiadaniu. Ale nikt tego nie wie. Lepiej, żeby tak zostało. – Popatrzył na twarz Cluziva, który słuchał go z zainteresowaniem, ale też z dziwną miną.

Zmęczyła go wspinaczka po schodach, strasznie go bolały nogi. Na szczęście w końcu skończyli wchodzić po schodach. Cluziv przystanął i zaczął głośno sapać. Admiros był tym niewzruszony. Stał i czekał, aż Cluziv odpocznie. Kiedy nastolatek odpoczywał, zobaczył znów biały korytarz, a na jego końcu spiralne schody, prowadzące w dół. Czy będziemy musieli po nich schodzić? Dlaczego nie poprowadzono korytarza na dole... Tylko trzeba iść naokoło... po tych przeklętych schodach!

Ruszyli przez korytarz. Admiros nie zwracał teraz uwagi na Cluziva. Kiedy byli na środku korytarza, stanęli. Cluziv wciąż patrzył na schody, czując ból w nogach.

– Dzień dobry, Reniu – powiedział nagle Admiros, a Cluziv odwrócił głowę w prawo.

Był tak ogarnięty lękiem przed schodami, że nie zauważył recepcji. Za blatem siedziała w wygodnym, niebieskim fotelu na obrotowych kółkach, mająca bardzo długą szyję, blondynka. Jej niebieskie oczy wpatrywały się w Admirosa z pożądaniem. Cluziv na tę myśl skrzywił się w duchu. Zamknął na chwilę oczy.

– Dzień dobry, Admirosie – zamruczała owa Renia. – Już wychodzicie? Będzie tutaj tak pusto...

Cluziv rozejrzał się po korytarzu. Rzeczywiście świecił pustką. Nic z tego nie rozumiał. Zaczął się do tego przyzwyczajać.

– Niestety – rzekł chłodno Admiros. – Muszę go stąd zabrać. Już wyzdrowiał. – Pokazał wzrokiem na Cluziva.

Chłopak zobaczył, że Admiros obraca w prawej ręce opuszczonej wzdłuż tułowia swój długopis. Kobieta z recepcji nie mogła tego widzieć. Na słowa Admirosa zaczęła przebierać rękoma w stertach papierów leżących przed nią. Podała część z nich Admirosowi.

– Te należy wypełnić – powiedziała.

– Czy to są wszystkie jego akta i dokumenty?

– Naturalnie. Zresztą nie dałeś mi ich wcześniej zbyt wiele, a jakie to ma znaczenie?

– Oczywiście, że żadne – rzekł spokojnym głosem Admiros, chwytając niektóre, by się im przyjrzeć.

Renia opuściła znów wzrok na papiery, odrywając go od Admirosa. Cluziv przyglądał się całej scenie z boku. Nie rozumiał, po co te pytania. Wszystkie dokumenty? Zupełnie jakby Admiros chciał, by nie pozostało po nim żadnych śladów. Wtedy właśnie Admiros uniósł długopis, celując nim prosto w recepcjonistkę.

– Reniu? – zapytał opanowanym głosem Admiros.

– Tak, Admirosie? – odparła kobieta, nie odrywając wzroku od papierów. – Słucham cię...

Nie doczekała się jednak odpowiedzi ze strony Ignisopotestatema, który celując w nią długopisem, rzekł głośno:

– *ICTUS!*



Kobieta spadła z fotela, przewracając go. Cluziv wydał nawet z siebie dość głośny głos przerażenia. Admiros nie zareagował na zdziwienie Cluziva. Podszedł do niego, wyciągnął z dolnej kieszeni swojej czerwonej jak krew szaty list i rzekł:

– Idź i połóż jej to na biuście. To bardzo ważne – uśmiechnął się Admiros. – Możesz nawet przeczytać list, jeżeli bardzo cię ciekawi ta cała sytuacja. Przekonasz się, że nic jej nie zrobiłem. Jest tylko... oszołomiona. Ot, co!

Cluziv patrzył jeszcze przez chwilę na Admirosa. W końcu przeczytał list, który miał położyć na klatce piersiowej owej Reni z recepcji. Jakkolwiek brzmiało to w jego głowie. Przeczytał w myślach treść listu:

*Moja droga Renato. Wybacz mi moje bardzo brutalne myśli, ale wiesz dobrze, że lubię dziko. Wkrótce się odezwę.*

*Twój Admiros*

Cluziv popatrzył na Admirosa. Ten zaczął się śmiać.

– To żart? – zapytał Cluziv. – Proszę pana?

– Nie, skądże – odpowiedział mężczyzna. – Idź i połóż to na jej biuście. To jedyny sposób, by zrozumiała, że nie oszołomiłem jej, by się czegoś nie dowiedziała. Nikt nie może cię widzieć, chłopcze. Teraz wykonaj polecenie.

Cluziv nic nie odpowiedział. Przeszedł przez błąd odgradzający recepcję od korytarza. Kobieta leżała na podłodze w dziwnej pozycji. Jej pierś pulsowała mocno pod jej białą szatą. Cluziv położył list na jej piersi. Wrócił do Admirosa. Patrzyli na siebie w milczeniu. Admiros zaczął się śmiać, a po chwili rzekł:

– Musisz przyznać, że dobrze to zaplanowałem. Nikt nie może się dowiedzieć, że tutaj byłeś. A ona będzie tak zauroczona tym, co przeczyta, że zapomni w ogóle, że przez całe trzy tygodnie tutaj leżałaś. Nikomu nie powie. Szaleje za mną – znów się zaśmiał. – No chodź. Wynośmy się stąd. Musisz dotrzeć do szkoły „F”izycznej jeszcze dzisiaj.

Admiros wskazał ścianę naprzeciwko recepcji. Chwyć Cluziva pod ramię i obaj przeszli przez nią. Chłopiec poczuł się, jakby ktoś oblał go czymś zimnym. Teraz stał w wąskiej uliczce jakiegoś miasta pomiędzy dwoma kamiennymi, starymi budynkami. Nie wiedział, gdzie jest. Słyszał za to odgłosy samochodów i tramwajów. Spojrzył w niebo. Słońce świeciło jasno. Jak to możliwe, pod ziemią? Starął się o tym nie myśleć. Zwłaszcza że ruszył przez uliczkę w stronę głównej ulicy za Admirosem. Szli w ciszy. Nie trwało to jednak długo. Niedługo po tym, jak wyszli ze szpitala dla byłych „F”izyków, stanęli na chodniku głównej ulicy, prowadzącej do samego centrum miasta. Teraz byli więc na przedmieściach... Dostrzegł znak po drugiej stronie ulicy. Wytyczył wzrok i przeczytał napis:

## *KOPENHAGA CENTRUM (2 km)*

– Jesteśmy w Kopenhadze, proszę pana? – zapytał Admirosa, który teraz spoglądał na jego chłopięcą twarz.

– Czy dokładnie w Kopenhadze, tego bym nie powiedział – rzekł Admiros. – Ale na pewno musimy stąd odejść. Im szybciej, tym lepiej.

Ruszyli w stronę przeciwną niż centrum Kopenhagi – jak wskazywał znak. Zdziwiło to Cluziva. Jak wszystko od końca wakacji... Kiedy szli razem z tłumem przechodniów – mimo że to dopiero były przedmieścia... usłyszeli rozmowę dwóch mężczyzn, którzy zwrócili uwagę na strój Admirosa.

– Ja to bym nigdy się w czymś takim nie pokazał. Nawet na starość – rzekł.

– Masz rację, brachu. Trzeba być jakimś po...

Cluziv spojrział na Admirosa. Ten patrzył przed siebie, jakby nie widział i nie słyszał podśmiewających się z nich gości. W pewnej chwili jednak spostrzegł, że obaj panowie wywinęli orła, a po wstaniu trzymali się za brzuchy.

– Ach, ta dzisiejsza młodzież – westchnął tylko Admiros.

– Oni mają ze trzydzieści lat... – odparł Cluziv, nie ukrywając śmiechu.

– Owszem, ale zachowują się jak chłopcy, nie mężczyźni. Dzisiejsza młodzież nie ma za grosz szacunku. To nie moja wina, że się przewrócili.

Cluziv zrobił taką minę, jakby ktoś opowiedział mu dobry kawał.

– No co, może to ja uczyniłem? – zapytał teraz chłodno Admiros. – To byłeś ty, Cluzivie!

– Ja?! – zdziwił się Cluziv. – Ale jak?

– Byłeś oburzony tym, co powiedzieli o moim stroju. Sam nie wiem dlaczego, ale postąpiłeś słusznie. To powinni sobie zapamiętać. Tylko nie wiem, czy domyślają się, kto i dlaczego im zaserwował ból brzucha i wywrotkę na prostej drodze – zaśmiał się Admiros.

Cluziv nie ufał w pełni Admirosowi, ale podążył za nim, bo co innego mu pozostało.

## Retrospekcja

---

Słońce pomału zachodziło za horyzontem. Mimo zmęczenia długą wędrówką, w dodatku pieszo, Cluziv nie przestawał myśleć o rodzicach. Na samo wspomnienie cierpienia matki dostawał drgawek. Nie mógł zapomnieć jej bólu. Mimo pełnych ust, które wypełniały się obficie krwią, wykrzyczała bardzo głośno jego imię.

Dlaczego Bezwładny uważa go za swojego syna? Dlaczego przekazał mu rdzeń? Czy naprawdę tylko po to, by zabił Admirosa? Zresztą nie zna całej „F”izyki – a przynajmniej tak mu się wydawało. Mimo słabnących promieni słonecznych szata Admirosa nadal błyszczała czerwienią. Stanęli w końcu na polnej drodze w pobliżu stawu.

– Jak długo idziemy? – zapytał Cluziv. – I gdzie jesteśmy?

– Szliśmy pieszo nie przez przypadek, a poza tym zawsze odczuwałem niedosyt świeżego powietrza. Tego tutaj, na powierzchni – westchnął Admiros. – Gdzie jesteśmy? Na polnej drodze. Nieważne gdzie, przecież liczy się efekt końcowy. Nie to jak do niego doszedłeś.

Cluziv popatrzył na niego ze zdumieniem.

– To taka metafora – rzekł po chwili. – Nie powinno cię to interesować. Polna droga to polna droga. Na pewno gdzieś daleko od Kopenhagi. Przynajmniej na tyle daleko, ile może pokonać człowiek pieszo w ciągu siedmiu godzin marszu, z przerwami na postój i jedzenie. Kiedy nikt nas nie obserwuje, możemy udać się na Grenlandię. Stamtąd zaś prosta droga do siedziby naszego rodu. – Wymienił szybkie spojrzenia z Cluzivem. – No, chłopcze, chwyć mnie za rękę. – Na twarzy Admirosa pojawił się uśmiech. – Obiecałem, że kiedyś pokażę ci to, jak Bezwładny przejął rdzeń i władzę. Teraz to nastąpi. Prawda, że wspaniale? Nie spodziewałeś się, że mówiąc kiedyś, nastąpi to tak szybko.

Cluziv przytaknął twierdząco głową.

– Zapomniałbym – rzekł Admiros. – Nie pokażę ci, jak się dostaniemy na Grenlandię. Pewnie cię to zastanawia.

– Nie pokażat pan? – zamyślił się Cluziv. – Ale jak mógł mi to pan pokazać? Raczej chyba powinien mi pan to powiedzieć.

– Ach – westchnął mężczyzna. – Tak, bardzo mądre twoje przemyślenia jak na chłopca. Od dzisiaj traktuję cię, jakbym rozmawiał ze starym znajomym. Masz naprawdę potężny rdzeń. Wracając do Grenlandii, jesteśmy w Danii, prawda? – zapytał, jakby sam siebie. – No tak, jesteśmy, a Grenlandia należy do Danii. Stąd można najszybciej bez żadnych formularzy powrócić na nią „F”izykowi. Nie musisz rozumieć, spójrz tylko. – Wyciągnął długopis z kieszeni. Schylił się i podniósł maleńki kamień. Dał go do ręki Cluziwowi. Wycelował końcem długopisu w kamień i wypowiedział: – *Commisceat*.

Kamień wyskoczył z ręki Cluziva. Przerażony chłopiec zrobił krok w tył. Kamień zawisł w powietrzu, zawirował. Obracał się bardzo szybko. Kiedy przestał wirować, na ziemię spadły maleńkie, wręcz mikroskopijne kulki. Cluziv i Admiros zastaniali ubraniem i rękoma twarz, by żadna z upadających kulek nie wpadła im do oczu. Kiedy odślonili oczy, kulki wielkości kamyczków piasku, wzbiły się w powietrzu. Admiros poruszała to w górę, to w dół długopisem. Kulki podążały za jego ruchem. Cluziv uśmiechnął się do Admirosa, a ten mu powiedział:

– Widzisz, najprostszym środkiem transportu jest nie tak, jak w filmach, teleportacja. Ona nigdy nie była i nie będzie możliwa. Wiemy już prawie wszystko o świecie, który nas otacza. Zwykli „f”izycy wiedzą na razie tyle o świecie, w którym żyją, ile przeciętny z nich potrafi wykonać zadań z rozszerzonej fizyki kwantowej. Po prostu zdolność mieszania się w cząsteczkach powietrza atomów tworzących cząsteczkową budowę ciał stałych, tylko ciał stałych. To warte zapamiętania. Zresztą ty to wiesz, prawda?

Dopiero teraz Cluziva ogarnął jakiś wewnętrzny strach i lęk. Rozboleła go głowa. Upadł na ziemię, trzymając się za nią. Dostrzegł głowę Admirosa, który stał w bezruchu, rozglądając się dookoła. Po chwili ból ustał. Cluziv wstał i otrzepał się z piasku. Słońce całkowicie zaszło. Admiros trzymał w ręku już cały kamień. Cluziv zrozumiał, o co w całym spektaklu chodziło.

– Czyli... – wyjąkał po chwili. – To takie rozdrobnienie ciała na kulki daje możliwość szybkiej podróży, prawda? To efekt Sarkofinięgo. Wynaleziony ponad czterysta lat temu. Więc całkiem niedawno. Ale proszę pana, skąd ja to wiem?

Admiros się zaśmiał i rzekł ochryplym ze zmęczenia już głosem:

– Bezwałdny, dając ci taki sam rdzeń, przekazał ci wiedzę teoretyczną, Cluzivie. Nie praktyczną. Musisz poznać każde oddziaływania słów, długopisu i rdzenia z żywiołem w przyszłości. Teorii nie musisz się uczyć. Dlatego po tym, jak nasza podróż do szkoły się zakończy, przystąpisz do prywatnych lekcji ze mną. Mam nadzieję, że się cieszysz. Sprawdziany teoretyczne w naszej szkole zawsze zdasz, ale praktyka, to coś innego. Tego nie można przekazać, to trzeba zobaczyć i przeżyć.

– Chyba rozumiem – powiedział Cluziv.

– Nie sądzę jednak, byś uczył się całej praktyki bardzo długo. Wszystkich formułek zdaniowych wywołujących dany efekt nauczysz się już po dwóch dniach. Twój umysł pochłonie

każdą wiedzę. Teraz, jeśli jesteś łaskaw, w tej ciemności wymacaj moje ramię i się go chwyć. Polecimy, jak sam powiedziałeś, „kulkowo”, do wejścia do rodu „F”izyków na Grenlandii.

Cluziv wykonał polecenie.

– W trakcie podróży, która może chwilę zająć, ujrzysz scenę, jak Główny Protektor przejął władzę. Ostrzegam, zamknij oczy!

Cluziv zamknął powieki. Po chwili poczuł podmuch wiatru prosto w twarz, więc już lecał, uznał. Nie może otworzyć oczu? Nie może tego zobaczyć? Jest taki podekscytowanym tym, że leci nad ziemią. W dodatku... Nie, jednak nie mógł otworzyć oczu. Przecież teraz jego ciało to kulki. Po dobrych kilkunastu minutach odczuwania oporu powietrza stracił dech w piersiach. Jego serce zaczęło walić szybciej. Poczuł, że spada. Nie mógł otworzyć oczu. Błysnęło mu w oczach. Czy spadli? Czy Bezwładny ich znalazł? Szybko jednak otrzymał odpowiedzi na te pytania.

Znów rozbłysło białe światło. Stał teraz przed wielkimi, drewnianymi drzwiami. Poczuł się dziwnie. Dwóch strażników – jeden w niebieskiej, drugi w czerwonej szacie pilnowało wejścia. Dwóch mężczyzn – jednego chłopak rozpoznał – patrzyło prosto przed siebie. Chyba go nie widzą, pomyślał. Tym w czerwonej szacie był sam Admiros – rozpoznałby go wszędzie. Drugi pewnie reprezentował żywioł wody, ale co jest za tymi drzwiami... Cluziv nie musiał długo czekać. O wiele młodszy Admiros po chwili ciszy i milczenia coś wyszeptał ochrypłym głosem do osoby w niebieskiej szacie.

– Psssst. Wchodzimy. Na trzy... Raz... Dwa... TRZY! – krzyknął nagle Admiros.

Ruszyli z miejsca. Wspólnie otworzyli wielkie drzwi. Po ich przekroczeniu znaleźli się w wielkiej, białej sali. Cluziv odczuł przepych białych wnętrz w świetle „F”izyków. W sali przy biurku siedział mężczyzna w białej szacie. Król... – pomyślał chłopak. Przy wielkim, szklanym oknie stały zaś dwie niezwykle kobiece postacie. Jedna w zielonej, druga zaś w żółtej szacie. Żywioł Roślin i Światta – zamyślił się.

– O co chodzi, Admirosie i Shoragu? – zapytał król.

Nic nie odpowiedzieli. Cluziv stał za Admirosem. Drzwi trzasnęły z hukiem. Wszyscy na nie spojrzeli. Przed zamkniętymi drzwiami stał teraz mężczyzna w czarnej szacie. Żywioł Ciemności... Erick?!

– Sądzę, że dobrze wiesz, o co chodzi – rzekł głośno mężczyzna w czarnej szacie. – Uwważasz, że nikt z nas nie chce być na twoim miejscu? Nikt z nas nie chce tego rdzenia?! Myślisz, że będziemy cię strzegli, za takie marne wynagrodzenie?! Za te wszystkie lata, kiedy się uczyliśmy, by zdobyć wiedzę i potęgę.

Admiros się zaśmiał. Cluziv domyślał się, co zaraz się stanie. Odsunął się na bok. Przybyli wyciągnęli długopisy. Król nawet się nie pofatygował. Rzekł natomiast:

– Wiedziałem, że ten dzień nadejdzie. Ale ostrzegam was, że przez ten rdzeń będziecie cierpieć. Może nie teraz, ale za jakiś czas.

– Dosyć tego! – warknął Admiros. – Koniec litości. Zrób to, Kcireu. – Zwrócił się do mężczyzny w czarnej szacie.

Król wstał. Wszyscy skoncentrowali swoje myśli na nim. Jednak ten stał z rozłożonymi rękoma.

Cluziv poczuł, jakby się zapadał. Scena została przerwana. Zniknęła mu z oczu. Spadał w dół, jakby zapadła się pod nim podłoga. Czuł wiatr we włosach. W końcu gruchnął o ziemię. Wstał, otrzepał się i rozejrzał dookoła.

Był w szpitalu. W tym, w którym jeszcze niedawno siedział w pokoju i rozmawiał po raz pierwszy z Admirosem. Obok siebie ujrzał Ericka, to znaczy Bezwładnego. Stał z długopisem skierowanym w płaczącą na cały korytarz recepcji Renię. W końcu Bezwładny przemówił:

– Co ci oferował mój zdradziecki brat?! GADAJ!

Renia nadal płakała, kuląc się na fotelu i zasłaniając twarz rękoma.

Cluziv spojrział na Bezwładnego, który teraz krzyknął tak głośno, że usłyszałby to, siedząc w swoim pokoju szpitalnym, pod ziemią z Admirosem:

– *INERCJA!* – Z długopisu, niczym z armaty, wystrzelił biały strumień światła w zwartym promieniu. Poszybował w mgnieniu oka, uderzając w twarz płaczącą Renię. Kobieta zamarła bez ruchu, spadając z fotela. Także i ją... zabił...

Teraz Cluziv patrzył na Bezwładnego, do którego czuł jeszcze większą nienawiść. W końcu zabił jego rodziców. Chłopak czuł żądzę zemsty.

Bezwładny podszedł do ciała Reni. Przeszukał kieszenie jej białej lekarskiej szaty. Wyciągnął list od Admirosa. Po tym, jak skończył go czytać, ryknął z gniewu, odszedł od recepcji i zniknął, wychodząc przez ścianę.

Cluziv poczuł, jakby wciągała go jakaś siła z powrotem w górę. Oddał się jej bezwładnie. Po dłuższej chwili leczenia, błysnęło mu w oczach. Stał w pokoju króla. Nic nie rozumiał. Dlaczego sceny się tak zmieniają? Król leżał już nieruchomo z twarzą na blacie swojego biurka. Cluziv skrzywił się, kiedy zobaczył krew wyptywającą z jego uszu. Wszyscy podskakiwali z radości. Zdążyli przejąć już rdzeń.

Wtedy znów coś zaczęło ciągnąć go w górę. Cała scena zniknęła. Błysnęło mu pod powiekami, zanim je otworzył. Stał na ziemi. Na lodzie... Dlaczego? Czy jestem na Grenladnii? Czy to rzeczywistość? Czy może znowu to myśli zapamiętane przez Admirosa.

Rozejrzał się wokół siebie. Za nim stał zaniepokojony Admiros.

– Co widziałeś, mój chłopcze?

– Najpierw scenę z królem, aż do momentu, kiedy, proszę mi wybaczyć, wszyscy pięcioro staliście przed królem. Ten dał się zabić, a potem coś wciągnęło mnie pod ziemię. Podłoga się zapadła. Czy to ma sens? – Nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: – Potem Bezwładny zabił Renię. To znaczy recepcjonistkę ze szpitala. Przeczytał list i się wściekł. Kiedy wróciłem z powrotem przed biurko króla, wszyscy świętowali, zatem pewnie już wykradliście rdzeń.

Admiros przyglądał się nastolatкови. Cluziv dopiero teraz rozejrzał się wokół siebie. Był w igloo? Dlaczego? W dodatku każdy blok zbitego śniegu od środka igloo był różnego koloru. Czy to ma sens? Coraz bardziej mnie to zaskakuje. Fizyka... Słyszał, jak huragan śnieżny szaleje na zewnątrz.

– Biedna Renia – westchnął Admiros. – Zabił ją. Gdybym wiedział, to bym jej nie oszołamał. Może darowałby jej życie. No cóż, w drogę. Nie ma co rozpaczać nad umarłymi, oni nie wrócą. Trzeba żałować tych, co jeszcze żyją.

– Czy to znaczy, że on ją naprawdę zabił? – zapytał niepewnie chłopak. – Dlaczego ja to widziałem?

– Rdzeń twój i Bezwałdnego są ze sobą połączone. Więc to, co zobaczysz, zależy od jego woli. To dość trudne do zrozumienia. Jak fizyka dla przeciętnego człowieka. Teraz się odpręż. Dotarliśmy do przejścia łączącego „F”izyków i „f”izyków. Czy to nie ekscytujące? Teraz powtórz za mną *Agrodus*.

Długopis, który trzymał Admiros w ręku, zniknął. Po chwili nie było też Admirosa.

– Proszę pana?! – krzyczał na cały głos Cluziv.

Czy on mnie tutaj zostawił?! Dlaczego?! Może całość jest tylko złudzeniem i obudzę się w ramionach rodziców? Poczuł, że coś uwiera go w kieszeni od szpitalnych spodni. Nadal je miał na sobie. Uśmiechnął się i włożył rękę do kieszeni. Coś tam było, czuł to wyraźnie. Chwycił ów przedmiot i wyciągnął go. Długopis – westchnął. Cały biały! Uniósł go i powiedział głośno: – *Agrodus!*

Błysnęło mu przed oczami. Pomyślał, że od dzisiaj, co godzinę będzie mu błyskało w oczach. Świat opisywany przez Admirosa nie ma sensu, a czy normalny ma? Spadał w dół, w otchtań. W końcu uderzył w twardy grunt. Ponownie błysnęło mu przed oczami. Zaczęło go to irytować. Ocknął się, a Admiros stał obok. Byli na małej wysepce pośrodku wielkiego jeziora... albo oceanu. Sam nie wiedział. W każdym razie gdzieś w oddali dostrzegł inną wyspę. Uśmiechnął się spojrzawszy na Admirosa, który mu się przyglądał.

– Od teraz koniec tych dziwnych rzeczy. Wszystko będzie się działo stopniowo. Nie musimy przed nikim uciekać. Tam w oddali widać twoją nową szkołę. Jestem jej dyrektorem – rzecz jasna. Tego ci chyba nie powiedziałem, przepraszam. Nie da się zarejestrować użycia tego przejścia, ale tam, gdzie chcesz, cię przeniesie.

– Gdzie jesteście? Konkretnie. Byliśmy na Grenlandnii, tak? – zapytał Cluziv.

– Owszem byliśmy, a tego, gdzie jesteś, dowiesz się od kogoś innego. Mnie boli już gardło. Wybacz, teraz przemierzmy się w kulkową maszynę, by tam dotrzeć. Oczywiście nie bój się. Nikt przeze mnie niepożądany tutaj nie może się przenieść tym wejściem. Oceanu tego chronią potężni żywiołowcy. Nie masz się czego bać. Jesteś w szkole AMSTHRUNG. – Admiros położył rękę na ramieniu Cluziva.

Obaj wpatrywali się w światło księżycy, które padało na jaśniejącą wysepkę, gdzieś w oddali. To była jego nowa szkoła. Czuł zmęczenie i największą, jak dotąd, ekscytację!

## Amstrung

---

Cluziv stał przed budynkiem szkoły. Admiros przypatrywał się jego reakcji. Tak jak myślał – na piętnastolatku zrobił wielkie wrażenie. Budynek był nie tylko okazały, ale i bogato zdobiony. Główna jego część lśniła bielą i kontrastowała z czernią wielkiej bramy oraz szarością bocznych wież, na jednej z nich widniał wielki zegar. Wskazywał właśnie dwudziestą pierwszą.

Cluziv nie mógł uwierzyć, że w ciągu niecałych trzech tygodni całkowicie zmieniło się jego życie.

– Już późno – rzekł w końcu Admiros. – Czas, byś poszedł się porządnie wyspać. Jutro pierwszy dzień szkoły.

– Tylko że ja nikogo nie znam – odrzekł szybko Cluziv. – Nawet nie wiem, co gdzie jest. Sale lekcyjne... i nie mam ciuchów.

– Czy sądzisz, że nie mogę stworzyć ci ubrań? – zaśmiał się Admiros, po czym machnął długopisem w stronę Cluziva. – Proszę. To na dzisiaj wieczór.

Cluziv spojrział na siebie. Jego szpitalne ubranie zniknęło. Stał teraz w szarej szacie na tyle długiej, że sięgała do trawy.

– Dziękuję! To nie zmienia faktu, że nie znam szkoły – zamyślił się chłopak.

– Już ci mówiłem, że ktoś ci wszystko pokaże – westchnął Admiros. – No chodź. Idziemy pokazać ci twoją sypialnię. Jutro wszystkiego się dowiesz.

Przeprowadził Cluziva przez główne wejście do budynku szkoły na długi i szeroki korytarz, nawet o tej porze dobrze oświetlony. Chłopak spojrział na sufit, gdzie świeciły ledowe żarówki, ale o wiele większej mocy niż zwykle. Ruszyli w milczeniu po schodach w dół.

– Pewnie dziwisz się, dlaczego tutaj jest tak pusto. Przecież to szkoła połączona z akademikiem. Powinieneś zrozumieć. O tej godzinie wszyscy powinni być w swoich sypialniach. No chodź – powiedział Admiros, kiedy zeszli już na sam dół schodów. – Twoja sypialnia znajduje się pod ziemią. Dość blisko mojego gabinetu, swoją drogą.

Przeszli jeszcze kilka korytarzy, skręcając to w prawo, to w lewo. W końcu trafili na korytarz, na którym stali inni uczniowie, o dziwo, w zwyczajnych ubraniach. Cluziv jako jedyny



był w szarej szacie. Czy to nie dziwne? – pomyślał. Na widok Admirosa uczniowie zniknęli w sypialniach, a oni szli dalej przez teraz już pusty korytarz.

– To tutaj – powiedział Admiros, wskazując drzwi po ich prawej stronie. – Na samym końcu tego korytarza. Łatwe do zapamiętania. Wejść do środka. Dobranoc.

Cluziv wszedł przez drewniane drzwi do swojej nowej sypialni. Była dość ciasna, ale przytulna. Chyba każdy ma taką samą – pomyślał. Po prawej stronie stało łóżko. Na nim leżał kufer z doczepioną do niego karteczką. Cluziv najpierw zamknął drzwi do pomieszczenia, a potem podszedł i przeczytał karteczkę:

*W tym kufrze znajdują się twoje nowe rzeczy. O książki się nie martw. Nie będą ci potrzebne. Nasza pierwsza lekcja odbędzie się, gdy trochę ochłoniesz po wszystkich zdarzeniach.*

*Admiros*

Kiedy skończył czytać, drzwi od sypialni się otworzyły. Odwrócił się i szybko schował kartkę od dyrektora do kieszeni. Do pomieszczenia weszła szczupła dziewczyna. Miała piękne, długie blond włosy i jasną cerę, a jej niebieskie oczy przypominały Cluzivowi oczy jego mamy. Na pierwszy rzut oka wzrostem mu dorównywała. Nosiła czarną koszulkę bez ramiączek i jasnoniebieskie dżinsy. Zrobiła ogromne wrażenie na chłopaku.

Jest piękna, pomyślał, patrząc w jej niebieskie oczy. Przez chwilę wydały mu się czerwone, a jej źrenice się rozszerzyły. Chyba przewidziało mi się ze zmęczenia. Oboje patrzyli na siebie trochę zmieszani. Dziewczyna utkwiała wzrok w szarej szacie chłopaka. Po chwili odezwała się według Cluziva niezwykle pięknym głosem:

– Chyba dobrze trafiłam. Jestem Julia, a ty?

– Cluziv Rachmond – odparł.

– Mam oprowadzić cię po szkole. To polecenie dyrektora, więc przebierz się w coś normalnego – powiedziała, zerkając na szarą szatę. – Może ktoś nas będzie widział, a ja nie zamierzam zepsuć sobie reputacji po trzech tygodniach.

Julia wyszła, zamykając za sobą drzwi. Cluziv siedział w bezruchu jeszcze przez chwilę. Po czym otworzył kufer z nadzieją, że znajdzie tam jakieś normalne rzeczy. Przebrał się w dżinsy i szarą bluzę. Julia czekała na niego na pustym korytarzu. Nie wiedział czemu, ale cieszył się z tego.

– No to idziemy – rzekła do Cluziva.

Przechodzili po wszystkich podziemnych korytarzach, a ona mówiła mu po kolei, od czego są różne drzwi i dokąd prowadzą. Pokazywała też podziemne sale lekcyjne. Jednak Cluziv niekiedy nie był w stanie jej słuchać. Był tak w nią wpatrzony, że czasem potykał się o własne

nogi. Nic dziwnego, skoro nigdy nie widział tak pięknej dziewczyny. Kobiecości jej nie brakowało, co wcale nie ułatwiało skupienie się na zapamiętywaniu różnych informacji.

– Skąd jesteś? – zapytała w pewnym momencie Julia. – Ja z Piewrotu.

– Y... To znaczy ja... – zająkał się Cluziv.

Nie wiedział, co ma powiedzieć. Admiros prosił go o to, by nikomu nie mówić... że ma rdzeń... ale nie mówił nic o tym, skąd pochodzi. Chyba może to powiedzieć...

– Z okolic Kopenhagi – odpart wreszcie Cluziv, wciąż wpatrzony w niebieskie oczy Julii.

Dziewczyna się zaśmiała.

– Zabawny jesteś – powiedziała. – Mam uwierzyć, że twoi rodzice są „f”izykami i jesteś w Amsthrungu? Przecież możesz mi powiedzieć. Chodzimy w końcu do jednej klasy – znów się zaśmiała.

Cluziv wciąż patrzył prosto w jej oczy. Zamyślił się. *Ależ ty jesteś piękna... Julio...*

– Y...? Coś mówisz? – zapytała dziewczyna. – Nieważne, chyba coś mi się przestyszało – dodała po chwili.

Cluziv się zmieszał. Wchodzili teraz po schodach na górę. Czy ona słyszała? To by nie było możliwe... Cluziv spojrział na twarz Julii. Nabrała rumieńców, jakby rzeczywiście dotarli do niej słowa Cluziva. Czy to możliwe? Weszli po schodach na górę. Oboje trochę się tym zmęczyli.

– Jutro mamy pierwszy test z językoznawstwa – powiedziała dziewczyna. – Też go piszesz? No rozumiesz, dopiero przybyłeś.

Cluziv się zmieszał. Admiros nie powiedział mu nic o taryfie ulgowej. Powiedział za to, że dzięki rdzeniowi będzie znał odpowiedź na każde pytanie.

– Tak, piszę. Dyrektor powiedział, że zawsze mogę poprawić.

– A tak ogólnie, to skąd jesteś? – zapytała ponownie.

– Już mówiłem. Z okolic Kopenhagi – powtórzył niepewnie chłopak.

Julia udała, że nie słyszała tej odpowiedzi – a przynajmniej tak zdawało się Cluzivowi – bo ciągnęła dalej serię pytań, jakby role się odwróciły. To przecież on miał pytać o szkotę...

– Jaki chcesz wybrać żywioł po szkole?

– Jeszcze nad tym się nie zastanawiałem. Najpierw trzeba zdać egzaminy, by zdobyć rdzeń, a ty?

– Mnie nie zależy – powiedziała chłodno. – Mogę równie dobrze żyć w normalnym świecie. Czasami mam wrażenie, że w tamtym jest o wiele łatwiej.

Cluziv nie wiedział co odpowiedzieć. Patrzyli na siebie w zamyśleniu. Chłopak znów pomyślał, patrząc prosto w jej oczy o tym, jaka jest piękna. Po chwili dostrzegł, że ta rozglądała się po korytarzu.

– Słyszałeś może o tym? – zapytała Julia, wskazując na tablicę ogłoszeń wiszącą nad nimi. – To straszne.

Cluziv spojrzął na tablicę ogłoszeń i przeczytał w rubryce „Najnowsze wiadomości ze świata”:

*Wczoraj Centrala odebrała anegdoida pochodzącego ze świata „f”izyków. Zawarte w nim nagranie ujawniło okoliczności śmierci dwóch bytch „F”izyków – Joanny i Johna Rachmondów. Małżonkowie zostali zamordowani przez samego Bezwładnego, który w ten sposób obwieścił swój powrót i chęć przejęcia władzy. Centrala naszego rodu wraz z królem Bernfrikiem Hochzeitem na czele informuje, że wszystkie drogi przemieszczania się pomiędzy rodami są stale kontrolowane i dodatkowo zabezpieczone przed nieoczekiwanymi gośćmi.*

*Joanna i John Rachmondowie byli jedynymi żyjącymi członkami organizacji AGP (AntyGłówny Protektor), która istniała od momentu opuszczenia naszego rodu przez Bezwładnego ponad tysiąc lat temu.*

*Dyrektor Amsthungu pragnie zapewnić wszystkich rodziców, których dzieci kształcą się w tej szkole, że ich pociechom nic nie grozi.*

*Centrala poszukuje młodzieńca, którym interesuje się sam Bezwładny.*

*Każdy, kto posiada jakiegokolwiek informacje na temat pobytu Bezwładnego, proszony jest o kontakt z Centralą. Życzymy miłego dnia.*

*Centrala „F”izyków i obywateli*

– Co o tym sądzisz? – powtórzyła pytanie dziewczyna. – Zresztą mówię, że jak się nazywasz? Rachmond?

Cluziv znów patrzył na jej oczy, myśląc o tym, czy nie powinien choć jednej osobie wyznać prawdy. Rozejrzał się po korytarzu i odrzekł:

– Powiem ci coś. Tylko musisz mi przyrzec, że nikomu nie powiesz. Nikomu! – Julia przytaknęła głową. – Ale to jak skończysz mnie oprowadzać. Muszę mieć pewność, że nikt nie usłyszy – dodał Cluziv, a Julia przystała na tę propozycję.

Przeszli przez ścianę obok siebie. Po drugiej stronie ściany głównego korytarza, na którym przed chwilą czytali ogłoszenie, była stołówka.

– A tutaj trzy razy dziennie podają posiłki. Przed lekcjami i po. No, a wieczorem jest kolacja. Teraz już chyba wszystko wiesz – uśmiechnęła się do Cluziva. – Tylko nie rozumiem, dlaczego wróciłeś dopiero teraz. Dyrektor powiedział, że miałeś pewne osobiste problemy z rodzicami. Mogę wiedzieć, o co chodziło?

Cluziv nie odpowiedział. Przeszedł z powrotem przez ścianę na korytarz. Julia zrobiła to samo. Cluziv ruszył w kierunku schodów. Julia poszła za nim.

– Chodź ze mną – powiedział do Julii.

*Dlaczego ty musisz być taka ładna... nie mogę się skupić, pomyślał.*

Kiedy schodzili po schodach, Julia zapytała:

– Ty też słyszysz czasami, jak ktoś mówi do ciebie, że jesteś piękny? To znaczy ładny? – zmieszana się. – To znaczy, nie wiem, czy mnie rozumiesz. Nie chodzi mi, że jesteś ładny. To znaczy nie sądzę, że brzydki. Dobra nieważne! Zapomnij o tym.

– Nie, nic takiego nie słyszę – odrzekł Cluziv, zamyślając się.

Na twarzy Julii pojawił się rumieniec.

Ona słyszy to, co o niej mówię w myślach. Dlaczego? Może dramatyzuję? Te rozmyślenia przerwał, gdy weszli do jego sypialni. Julia usiadła na łóżku obok niewypakowanego kufra.

– Pomóc ci to powykręcać? – zapytała. – Samemu zajmie ci to więcej czasu – dodała szybko.

– Jeśli chcesz – odparł zmieszany chłopak. – Postuchaj, powiedziałem, że ci coś powiem i dotrzymam słowa. Tylko pamiętaj, że nikomu nie możesz tego powiedzieć.

Julia potwierdziła i zaczęła przekładać rzeczy z kufra. W trakcie tej pracy Cluziv opowiedział jej wszystko, co się wydarzyło w jego życiu od pierwszego września. Przyznał też, że informacja na tablicy ogłoszeń dotyczyła jego rodziców. Pominął tylko fakt, że dyrektor szkoły jest bratem Bezwładnego.

– Czy dobrze rozumiem – powiedziała po chwili ciszy. – Ty... ty masz rdzeń!?

– Tak – odrzekł Cluziv.

– To niesamowite! – wrzasnęła. – Przecież sam rdzeń pozwala na... A taki jaki ty masz... Ale nadal nie rozumiem po co. Nieważne. Dokończmy wykręcać twoje rzeczy z kufra. Jak chcesz mogę ci jeszcze trochę poopowiadać o naszym rodzie.

Cluziv przystał na tę propozycję.

– Może zacznę od tego, że nasz ród zamieszkuje samą skorupę ziemską. Niebo, które widzimy, jest sztuczne. Zwykli „f”izycy żyją na górze, na Ziemi, my pod jej powierzchnią. Staramy się utrzymać w tajemnicy nasze istnienie. Pewnie chcesz wiedzieć dlaczego. Otóż według Centrali i króla jest to konieczne. „Musimy dać im się swobodnie rozwijać”, to słowa obecnego króla, Bernrika Hochzeita. Dorośli „F”izycy uważają się za lepszych od mieszkańców Ziemi. A przecież bez rdzeni niczym nie różniliby się od zwykłych „f”izyków – powiedziała z oburzeniem. – W dodatku często ich prześladują. Na przykład parę tygodni temu, podczas wakacji, żywiołowiec strzegący króla wyruszył na tajną misję z jego polecenia. Po drodze zabił trzydziestu zwykłych „f”izyków. Król go za to nie ukarał. Uważam, że to niesprawiedliwe. Niebo, które widzimy, jest kontrolowane przez króla. To on decyduje o tym, jaka ma być pogoda. Dziwne, prawda?

– Nie ma tutaj demokracji? Tak jak u „f”izyków? – zapytał zaciekawiony Cluziv.

– Nie, nie ma. Według większości system demokratyczny jest jeszcze gorszy niż monarchia absolutna. Wszyscy uważają – ci z Centrali – że i tamten ród wkrótce się o tym przekona.

Zresztą u nas też nie ma samej monarchii absolutnej. Rządzi król. Są jeszcze stany rządu: Centrala „F”izyczna i Komisja Nadzorcza.

– Skąd ty to wiesz? – zapytał Cluziv. – To nie zmienia faktu, że to jakby system demokratyczny.

– Nie! – wykrzyknęła oburzona. – Po pierwsze, wiem to z opowieści mojego taty, pracuje w Centrali. Jest jej przewodniczącym. Po drugie, to nie to samo, co demokracja! Już ci tłumaczę. Centrala i Komisja stanowią drugi stan rządu. Pierwszym i głównym stanem jest król. Trzecim są wszyscy obywatele. Jest jednak dość duża różnica. Polecenia króla i tak muszą być wykonane zgodnie z jego wolą. Czyli reszta urzędów to po prostu zapewnienie bezsensownej pracy.

– A kto wydaje wyroki? Za zbrodnie?

– Właśnie do tego zmierzam. Sam król – oświadczyła. – Tylko według własnej woli. Za to Komisja Nadzorcza wydaje wyroki niezależnie od woli króla, w sprawie uczniów. Centrala jest pośrednikiem. Rozprawia godzinami, czy wyroki Komisji Nadzorczej są sprawiedliwe i tak dalej... Centrala odpowiada za bezpieczeństwo. Tylko wykwalifikowani żywiołowcy są stróżami prawa w terenie. Działają na zlecenie Centrali. Chyba że akurat król im coś zleci, wtedy działają tylko na polecenie króla.

– Przecież ten system nie ma sensu – wyrzekł w końcu Cluziv.

– A u „f”izyków ma? – zapytała drwiąco Julia. – Niby demokracja, a i tak robią, co chcą. Co chciałbyś jeszcze wiedzieć?

– Y... – Cluziv milczał. – Daj mi chwilę, niech pomyślę! Już wiem! AGP. Co to za organizacja? Jak moi rodzice mogli w niej działać, skoro zostali wyrzuceni z rodu.

Dziewczyna nabrała powietrza i wydusiła wyraźnym głosem:

– A...G...P... AntyGłówny Protektor – oświadczyła. – Jej celem było wypatrywanie śladów działalności i obecności Bezwałdnego. Twój rodzice – zamilkła na chwilę, starając się nie patrzeć Cluzivowi w oczy – byli ostatnimi jej członkami. Należeli do niej z woli naszego dyrektora. Wiem to z listu, który przysłał mi ojciec – westchnęła.

– Nic nie szkodzi – rzekł szybko Cluziv. – Powiedziałaś mi więcej, niż chciałem – pocieszył ją sztucznie. – U „f”izyków jest teraz dwudziesty pierwszy wiek. Dostałaś list? Nie używacie elektronicznych urządzeń?

Julia potwierdziła.

– Nie wiesz, dlaczego się ich nie używa? „f”izycy najwyraźniej tego nie wiedzą. – Zaśmiała się dziewczyna. – Każde urządzenie na prąd jest u nas zabronione. Każde, nawet to najmniejsze, jest szkodliwe... na przestrzeni lat, chociażby społecznie. Ponadto szkoła ma obowiązek uspołeczniania. Nie mówił ci dyrektor?

– Nie – zamyślił się.

– Jak szkoła miałyby przyzwyczajać nas do życia w społeczeństwie, gdyby każdy, tak jak w rodzimym „f”izyków, siedział z nosem w telefonie? Nasz ród przerabiał to wiele lat temu. Poza tym takie jest rozporządzenie Centrali. Urządzenia są zabronione i tyle. Jak byś mały rodzice nie zabraniali ci korzystać z technologii?

Urwała, bo Cluziv zmarkotniał na wspomnienie o rodzicach.

Julia nie zdążyła przeprosić, gdy ten zmienił temat:

– Jak słowa mogą wywoływać dany efekt? – zapytał nieśmiało Cluziv wciąż trochę zdekoncentrowany widokiem Julii. – No wiesz... Na przykład, kiedy Bezwładny mordował moją mamę... Wtedy słowa...

– To proste – odpowiedziała chłodno. – Wszystkie oddziaływania są wzajemne. Potrzebne są trzy lub cztery rzeczy, by zaistniał dany efekt. Potrzeba słów, rdzenia – obojętnie iluprocentowego – i długopisu, połączonych z danym rdzeniem – westchnęła.

– Jak dotąd jedyne procenty, interesujące „f”izyków, to te, które mogą mieć we krwi – zaśmiał się. Już nie czuł się nieswojo, rozmawiając z nią.

Julia też parsknęła śmiechem.

– Po co mi językoznawstwo? – zapytał Julię, gdy emocje trochę opadły.

– To dość ciekawe – uśmiechnęła się. – Te zajęcia mają cię przygotować na wypadek, jakbyś nie otrzymał rdzenia. W naszym rodzimym wszyscy mówimy w tym samym języku. To skutkiem króla. „f”izycy nazwaliby to zaklęciem lub magią. Przecież za kilka tysięcy lat pewnie sami odkryją, że można takie rzeczy robić, gdy tylko podkręci się trochę działanie swojego mózgu.

Zapanowała cisza. Cluziv poczuł się ciut niezręcznie. Sam nie wiedział dlaczego.

– Skąd mam wiedzieć, jakie lekcje mam? – zapytał po chwili. – Nie mam nawet książek. Dyrektor powiedział, że nie będą mi potrzebne.

– Bo ma rację – zgodziła się Julia. – Nosimy tylko zeszyty. Zobacz. – Pokazała na bruliony leżące na dnie kufra. – Co do rozkładu zajęć – kontynuowała Julia. – Mam ci go przekazać. – Zaczęła przeszukiwać kieszenie swoich spodni. Po chwili z prawej wyjęła świstek pogiętej kartki. – Przepraszam trochę się zgniótt – powiedziała.

Poniedziałek	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek
1. Historia rodu	1. Alchemia	1. Fizyka – teoria	1. Historia rodu	1. Fizyka – teoria
2. HZR	2. SnPW	2. Fizyka – teoria	2. HZR	2. Fizyka – teoria
3. Językoznawstwo	3. RMnPW	3. Językoznawstwo	3. Fizyka – teoria	3. OpZ
4. Fizyka – teoria	4. Fizyka – teoria	4. OpZ		4. OpZ
5. Fizyka – praktyka	5. Fizyka – praktyka		5. Fizyka – praktyka	

– Dzięki. – Cluziv wpatrywał się teraz w zwitek kartki. Plan lekcji wyglądał normalnie, no może przedmioty się trochę różniły.

– Yyy... – wyjąkał po chwili – nie za bardzo rozumiem wszystkie skróty.

– Dobra, to patrz! – Julia pokazała plan lekcji, przybliżając się do Cluziva. – HZR to Historia Zdrajców Rodu. Każdy, kto wam przekazał ceną informację „F”izyczną, uchodzi za zdrajcę rodu. Weźmy na przykład twórcę teorii kwantowej. Swoją drogą tylko część z niej jest prawdziwa. Został wywalony z rodu za problemy z prawem. Postanowił więc przekazać „f”izykom część informacji. Nie mógł jednak przekazać całej. Odebrano mu rdzeń, więc i większość wiedzy... Od tego momentu uchodzi za zdrajcę rodu, rozumiesz?

Cluziv nic nie odpowiedział. Wciąż patrzył na swój nowy plan lekcji.

– No, a ten? – zapytał, wskazując na alchemię.

– To połączenie fizycznej chemii z biologią. W skrócie uczą nas, jak poradzić sobie z ranami. Jak chcesz być lekarzem, musisz wiedzieć wszystko. Jest raz w tygodniu w pierwszej klasie.

– Czekaj – przerwał Cluziv. – Dlaczego zaczyna się naukę dopiero w wieku piętnastu lat?

– Bo według Komisji Nadzorczej to najlepszy czas, by chłonać wiedzę. Sama nie wiem. Po prostu tak się przyjęło. Dalej, SnPW oznacza Sztukę na Przestrzeni Wieków. Dość nudne zajęcia. Idealne, by odespać noc – zaśmiała się. – Po nich wcale nie mamy ciekawszego przedmiotu. RMnPW – Rodzaje Muzyki na Przestrzeni Wieków. Prowadzi ją ta sama nauczycielka co sztukę, jej głos jakoś usypia większość uczniów. Mnie w szczególności.

– No, a ten? – Wskazał na OpZ.

– Obrona przed Zagrożeniem – westchnęła. – Został wprowadzony od zeszłego tygodnia. Kiedy Bezwładny ogłosił swój powrót.

Teraz patrzyli sobie prosto w oczy. Ich twarze dzieliło zaledwie parę centymetrów. Nastąpiła niezręczna głucha cisza. Na szczęście dla obojga – a może na nieszczęście – ciszę tę przerwał odgłos otwieranych drzwi. Obrócili się gwałtownie. Stał w nich dyrektor Admiros Ignispotestatem.

– Panno Amare, co pani tutaj jeszcze robi? – zapytał szeptem Admiros. – Chyba nie jest to czas na koleżeńskie pogaduszki. Zmykaj już do swojej sypialni.

– Tak jest, panie profesorze – powiedziała Julia. – Tylko tłumaczyłam Cluzivowi plan lekcji.

– Dobrze, przecież nic nie sugeruję – roześmiał się dyrektor.

Julia wstała i wychodząc odwróciła twarz w stronę Cluziva, uśmiechnęła się i zniknęła za drzwiami.

– Jak ci się podoba pierwszy wieczór w nowej szkole, Cluzivie? – zapytał dyrektor.

– Jest wspaniale! – odrzekł chłopiec. – Nigdy szkoła nie sprawiła mi tyle frajdy.

Admiros roześmiał się, po czym wyszedł. Cluziv nareszcie został sam, rozejrzał się po sypialni – zeszyty leżały w kufrze na podłodze. Podniósł plan lekcji, obok którego leżała druga

kartka. Obejrzał jeszcze raz swój plan i schował go pod poduszkę. Potem wziął drugą kartkę i przeczytał:

*Pomyślałam sobie, że możesz nie zapamiętać drogi do sali historii rodu. Jeśli chcesz, mogę zaprowadzić cię do niej jutro rano. Poczekam na ciebie przed drzwiami twojej sypialni.*

Cluziv uśmiechnął się do siebie. Czy nie zaśpi? Jest może tutaj... JEST! Podbiegł do szafki, na której leżały jego rzeczy. Wziął do ręki budzik i nastawił na szóstą trzydzieści. Usiadł na łóżku z kartką od Julii. To jeszcze nic nie znaczy, powiedział sobie w duchu. Dopiero teraz zobaczył biurko obok łóżka. Naprawdę go nie zauważyłem wcześniej? Zdziwił się w duchu. Postawił na nim budzik. Przebrał się w piżamę i położył się do łóżka. Przez lukę pod drzwiami prześwitywało światło. Nie zamierzał jednak jeszcze spać, nie teraz. Za dużo myśli miał w głowie. Leżał patrząc na biały sufit. Po raz pierwszy, od trzech tygodni, poczuł się szczęśliwy. Poznał nową osobę i to jaką! – pomyślał. Mina mu jednak zrzedła, gdy myśli poszybowały ku rodzicom. Zabił ich Bezwałdny. Brutalniej niż Renię. Czuję rządzą zemsty. Admiros nauczy mnie wszystkiego! A wtedy go zabiję!

Jeżeli rzeczywiście jako jedyny ze wszystkich, tak jak Bezwałdny, ma najsilniejszy rdzeń, znajdzie go po ukończeniu szkoły i wykończy. Jeszcze bardziej się nad nim znęcając niż on nad jego rodzicami. Zapłaci ZA TO! Wtedy usnął.

Wiercił się podczas snu okropnie. Czasami do jego uszu dochodziły odgłosy pukania w ścianę. Pewnie inni uczniowie jeszcze nie śpią. Ten natomiast spał, ale dość czujnie i niespokojnie. Obrazy zmieniały się jak w kalejdoskopie – raz był w ławce z Henrykiem, a za chwilę widział, jak ginie jego matka albo jak Bezwałdny wypowiada słowo „inercja”. Nie wiedział, co ono oznacza. W fizyce zwykłych „f”izyków inercja to inaczej bezwałdność. Jednak nijak ma się znaczenie tych dwóch słów do efektu, jaki wywołują. Chyba że chodzi o samą nazwę bezwałdność. Może chodzi o bezwałdność w czynnościach życiowych? Tak! To musi być to! W głowie usłyszał płacz kobiety z recepcji. Potem zauważył siebie. Czytał list, który otrzymał od Julii. Widział, jak oprowadza go po szkole, jak rumieni się jej policzki, kiedy myślał o tym, jaka jest piękna. Czy ona to słyszała? Umie wchodzić do czyichś myśli? Ujrzał we śnie, jak sam sobie zadaje te pytania.

Wtedy się obudził. Budzik dzwonił niemiłosiernie dla jego uszy. Wyłączył alarm. Wstał z łóżka, był cały spocony po męczącej nocy.

– Jest tutaj łazienka? – zapytał.

Nie musiał sobie odpowiadać – szafa sama się odsunęła i Cluziv zobaczył łazienkę. Szybko się umył i ubrał. Włożył te same rzeczy co poprzedniego wieczoru. Budzik wskazywał szóstą pięćdziesiąt pięć.



Na korytarzu panowało ogromne zamieszanie. Uczniowie biegali lub stali w licznych grupach, głośno rozmawiając. Cluziv uśmiechnął się na widok Julii i ruszył w jej kierunku. Stał, gdy zauważył, że do dziewczyny podszedł jakiś chłopak.

– Co tam, Amare? – zaśmiał się pod nosem chłopak. – Jak noc?

– Odwal się, Carol – odrzekła chłodno Julia. – Może w końcu się pogodzisz z tym, że któraś nie jest tobą zauroczona? – zakpiła.

Cluziv spojrzął na Carola otoczonego grupką innych chłopaków. Dobrze umięśniony z krótkimi blond włosami i jasną cerą szybko zgromadził wokół siebie adoratorki.

Julia ruszyła w kierunku Cluziva.

– To co, teraz na śniadanie? – zapytała. – No chodź! – Pociągnęła Cluziva.

Ruszyli korytarzem, wzbudzając zainteresowanie Carola i reszty jego towarzystwa.

– Nie przejmuj się tym kretyńcem. W Piewrocie mieszkamy blisko siebie. Uważa, że każda dziewczyna może być jego. Nie widzi, że jest kompletnym kretyńcem. Olej go. Jak pierwsza noc? – zapytała na koniec.

Cluziv odwrócił się od Carola. Popatrzył teraz na Julię, była tak samo piękna jak wczoraj, a może jeszcze bardziej.

– Jak każda. Trochę byłem zmęczony tą dawką wiadomości. Sama rozumiesz – odrzekł Cluziv. – A tobie, jak minęła?

Julia się zarumieniła, jakby nie chciała o tym mówić.

– Normalnie, jak każda – powiedziała po chwili.

Wchodzili po schodach. Cluziv zauważył, że większość chłopaków ogląda się za nimi. Pewnie patrzą na Julię – pomyślał.

– Najpierw zjemy śniadanie, potem zaprowadzę cię na historię rodu.

– Dzięki, Julio – odparł Cluziv. – Za wszystko, przecież wcale nie musisz...

– Daj spokój, to drobiazg – odpowiedziała. – Zrobiłbyś tak samo.

– Wiesz... Chyba Carol zrobiłby to pierwszy – wymknęło mu się.

Cluziv się przeraził, bo wcale nie chciał tego powiedzieć. Julia za to zaśmiała się głośno:

– Wolałabym chyba umrzeć samotnie, niż żeby ten kretyń mnie oprowadzał. Jego system wartości jest równy systemowi wartości zwierzęcia z puszczy – znów się zaśmiała.

– Jesteśmy.

Przeszli przez ścianę głównego korytarza. W stołówce panował wielki tłok. Cluziv uśmiechnął się do Julii, a ta do niego.

– No chodź! – Chwyciła go za rękę i poprowadziła do bufetu. Po czym zajęli miejsce przy stoliku. Obok nich natychmiast usiadł Carol wraz z kumplami i obrzucił Cluziva wzrokiem zabójcy. Julię to rozbawiło.

– Z czego się śmiejesz?! – warknął Carol. – Jesz śniadanie z kimś, kogo nie znasz.

– No tak! Lepiej jeść śniadanie w towarzystwie idioty. Na pewno zmądrzeje! – Julia zwróciła się z uśmiechem do Cluziva.

Cluziv starał się nie patrzeć na Carola. Przez całe śniadanie czuł jednak jego wzrok na sobie. Po skończonym posiłku udali się znów w podziemia szkoły. Zeszli w ciszy po spiralnych schodach. Cluziv od czasu do czasu patrzył za siebie. Carol wciąż go obserwował.

– Sala historii rodu jest niedaleko naszych sypialni – powiedziała Julia.

Weszli do klasy. Julia usiadła w ostatniej ławce. Cluziv nadal stał w przejściu.

– No chodź! – krzyknęła Julia.

Cluziv usiadł więc obok dziewczyny.

– Dzięki. Nie wiem, czy chciałbym usiąść obok kogoś innego – powiedział.

– Myślałam, że od razu obok mnie usiądziesz – oświadczyła Julia.

– Dzień dobry, uczniowie! – przywitała się nauczycielka po wejściu do sali.

– Dzień dobry, profesor Fix! – odpowiedziała klasa chórem.

– Na początku chciałam, mam nadzieję, że razem z wami, powitać nowego ucznia w naszej sali – Cluziva Rachmonda. – Wskazała ręką na chłopaka.

Julia szturchnęła ręką Cluziva. Ten zmieszany wstał. Wszyscy na niego patrzyli, witając go oklaskami, nawet nauczycielka. Usiadł ponownie w ławce.

Po klasie rozszedł się szmer rozmów. Ten Rachmond? Jego starzy to Joanna i John?

– Dzisiaj ciąg dalszy wielkiego przełomu w dziejach dotyczących cennego dla nas rdzenia. Kto go wynalazł, kiedy i dlaczego już wiecie. A teraz omówimy rodzaje rdzeni i ich możliwości.

Cała lekcja tak, jak przewidywał Cluziv, była bardzo nudna. Po historii rodu nastął czas na historię zdrajców rodu. Znowu prowadziła ją profesor Fix. Całą lekcję praktycznie przespał, opierając się rękoma o ławkę. Tylko Julia nie przysypiała. Ale czy słuchała nauczycielki?

Po tej lekcji przyszedł czas na językoznawstwo – tutaj każdy miał miejsce pojedyncze. Cluziv usiadł za Julią i z podziwem spoglądał na jej długie blond włosy.

– Dziś piszemy sprawdzian. Mówiłam ci, prawda? – Julia odwróciła się do Cluziva. – Pamiętasz?

Cluziv miał mętlik. Tę informację uznał za żart i całkowicie wyparł z pamięci. Tymczasem profesor Kniak po wejściu do sali rozdała im arkusze sprawdzianów.

– Możecie zaczynać! Macie sześćdziesiąt minut – poinformowała profesor.

Cluziv podpisał się na samej górze kartki i przeczytał pierwsze pytanie:

1. Napisz, jak się nazywałeś w pięciu językach!

Coś w głowie kazało mu napisać losowe dla niego słowa. Wiem! Ucieszył się Cluziv. To znaczy, rdzeń wie! Zaśmiał się w duchu. Popatrzył po klasie. Najwyraźniej nie wszyscy byli

zadowolony z zadań. Cluziv odpowiadał bez trudu na wszystkie pytania. Kiedy skończył, spojrzął na zegar wiszący na ścianie, za biurkiem nauczycielki, która właśnie na niego patrzyła ze zdziwieniem. Do końca egzaminu zostało jeszcze czterdzieści minut. No cóż, skończyłem! – Ucieszył się Cluziv. Popatrzył po sali. Utkwił wzrok w profesor Kniak. Nagle usłyszał w głowie głos:

– *Jak ja lubię, kiedy nie znają odpowiedzi! Warto było zostać nauczycielem!*

Cluziv przetarł oczy. Przeszał słyszeć kobiecy głos. Czy ja?! Nie, to niemożliwe – pomyślał.

– Czy ja naprawdę słyszałem jej myśli? Skoro tak, to może...

Popatrzył na Julię, która skrobała zawzięcie długopisem po swoim arkuszu. Zamyślił się w duchu:

– *Nawet teraz jesteś taka piękna.*

– Co?! – wykrzyknęła Julia na cały głos.

Wszyscy spojrzeli na nią. Cluziv nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. Więc ona słyszy moje myśli... Mogę wtargnąć do czyichś myśli! Nastąpiła cisza. Cluziv popatrzył na zegar. Jeszcze pół godziny. Może jej pomogę...

– *Psst, Julia. Słyszysz mnie? To ja Cluziv.*

– *Cluziv?! To ty cały czas mówisz do mnie? Nikt inny cię nie słyszy?*

– *Zdziwiająca, prawda?* – westchnął w myśli Cluziv. – *Ależ ty jesteś piękna* – ponownie się zamyślił.

– *Postuchaj mnie, Cluziv. To chyba nie najlepszy moment byś mówił mi, jaka jestem. Możesz to zrobić później. Nie mam nic przeciwko* – odparła w myślach Julia. – *Próbuję się skupić.*

– *Nie, to znaczy, przepraszam! Mogę ci przecież pomóc! Sam, co prawda, nigdy nie uczyłem się tylu języków, ale rdeń podpowiadał mi, co napisać. Może, jak przeczytasz w myśli dane pytanie, to mogę ci udzielić odpowiedzi. O ile ufasz mojemu rdzeniowi.*

– *To genialne! Nie! Przecież to jest niedozwolone!* – pomyślała po chwili.

– *Być może, ale to jest nie do wykrycia. Tylko ja umiem czytać w myślach. Tylko ja, Julia! Mogę ci pomóc. Sama mówiłaś, że w szkole uczą niepotrzebnej teorii, a po otrzymaniu rdzenia i tak wszystko można o wiele szybciej opanować.*

– *To prawda, mówiłam tak, ale teraz jest egzamin. Chociaż w sumie, no dobra. Tylko raz!*

Na jednym razie się jednak nie skończyło. Julia w myślach czytała pytania, a Cluziv podawał jej odpowiedzi. Oboje śmiali się w duchu. Kiedy Julia skończyła egzamin, rozejrzała się po sali. Reszta klasy zawzięcie skrobała długopisem.

– Dziękuję – rzuciła na korytarzu Julia. – Naprawdę wielkie dzięki! Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła! – Pocałowała Cluziva w policzek i odeszła, skręcając w boczny korytarz.

Na twarzy Cluziva pojawił się uśmiech. Gdzieś w głębi poczuł radość. Usłyszał jednak donośny głos za swoimi plecami.

– *Podobało ci się, co?! – warknął Carol. – Przychodzisz do szkoły i już zgarniasz najlepszą laskę.*

– Jeżeli patrzysz na całość z tej strony... – wtrącił Cluziv.

Wokół nich zebrało się kilkoro uczniów z klasy.

– Strach cię obleciał, Rachmond? Rodzicie ci nie pomogą! Julia też nie – zakpił Carol. – Już nie tak wesoło?

Carol ruszył w kierunku Cluziva z uniesioną ręką. Za nim podeszli jego koledzy. Kiedy byli już naprawdę blisko Cluziva, ten uśmiechnął się, a wtedy z klasy wyszła profesor Kniak. Krzyczała coś do nich. Cluziv i Carol nie przejmowali się jej słowami. Carol już wyciągał rękę, chwycił Cluziva za głowę, gdy rozległ się głośny huk.

Nauczycielka przebiła się przez tłum uczniów, którzy obserwowali całą scenę. Carol wirował w powietrzu. Upadł na plecy. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Cluziv natomiast miał zamknięte oczy. Jakby oczekiwał dotyku ręki Carola na swojej twarzy. Otworzył oczy, a śmiech uczniów nie ustawał. Carol prawie z zażawionymi z bólu oczami patrzył na wszystkich.

– Z czego się śmiejecie?! – warknął Carol.

Śmiech nie ustawał. Nawet Cluziv przyłączył się do ogólnej wesołości.

– Ja nic... Ja nic nie rozumiem! – wykrzyczała profesor Kniak. – Jak... Przecież nie było nawet słowa... Nawet jeżeli... Co? – zdziwiła się.

Nastąpiła cisza, podczas której uczniowie się rozeszli. Cluziv rozejrzał się wokół siebie. Na korytarzu stał dyrektor Admiros.

– Cluziv! Za mną! – powiedział chłodno. – Reszta ma się udać na przerwę i czekać na kolejne zajęcia.

## On jest coraz bliżej

---

Cluziv szedł w ciszy za dyrektorem. Pewnie prowadzi go do swojego gabinetu. Jak on to uczynił? Przecież zamknął oczy! Nic nawet nie powiedział. Co to wszystko znaczy? Czy odkąd tutaj jestem, cokolwiek ma jakiś większy sens? Nie ma – odpowiedział sobie w myślach. Kiedy skończył tę rozmowę sam ze sobą, stali obok wejścia do jego sypialni.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci, że mój gabinet znajduje się niedaleko twojej sypialni? – zapytał Admiros.

– Tak, proszę pana – odpowiedział Cluziv. – Mam kłopoty, tak? Za to z Carolem – dodał szybko.

– Jakie kłopoty? – zaśmiał się Admiros. – Miałbyś dostać w skórę za coś, czego nie zrobisz?

– W takim razie, jak?! – zdziwił się Cluziv. – Ja po raz pierwszy dzisiaj nic nie rozumiem, panie profesorze. Jak Carol odleciał w górę i... upadł na ziemię?

– To byłem ja – westchnął Admiros. – Jeszcze chwila i uderzyłby cię. Jestem pewny, że normalnie nie zdołałby nawet do ciebie nic powiedzieć, a ty już byś go powalił na ziemię. Nie możesz jednak korzystać z rdzenia i słów. Jestem z ciebie dumny. To oznaka tego, jak tęgi masz rozum. Wracając do mojego gabinetu – zaczął znowu Admiros – rzeczywiście jest niedaleko twojej sypialni. Spójrz tylko.

Cluziv zerknął na wskazaną ścianę korytarza prowadzącego do jego pokoju. Była cała biała, jak większa część szkoły. Admiros w powietrzu wykonał długopisem energiczny rysunek koła. Usłyszeli łoskot. Szary dym zaczął wylać ze ściany. Cluziv parę razy zakaszał. Po chwili dym zniknął, a w ścianie pojawiły się małe, drewniane drzwiczki. Po ich przekroczeniu natrafili na spiralne schody prowadzące w dół. Na szczęście było ich mało. Na końcu schodów dyrektor popchnął ręką jeszcze jedno, tak samo drewniane i tak samo małe drzwiczki, za którymi znajdował się jego ogromny i cały w czerwieni gabinet. Na ścianach wisiły drewniane tarcze i inne wojenne rekwizyty, a na niewielkim biurku leżała sterta papierów. Na jej wierzchu Cluziv zobaczył materiały na temat AGP. Zdążył odczytać tylko „Nowe AGP – reaktywacja”, zanim Admiros sprzątnął mu je sprzed nosa:

– Nie powinienes się tym przejmować – rzekł chłodno dyrektor. – Musisz się skupić na nauce. Z tego, co udało mi się ustalić, Bezwładny próbuje odbudować swoją armię. Jego zwolenników nie zostało wielu, lecz potęga, którą dysponował i dysponuje do dzisiaj, przekona niektórych. Odkąd pojawiłeś się w tej szkole, mój gabinet przeszedł wielką metamorfozę. To tutaj będę cię szkolił. Musisz być przygotowany na odpowiedni moment. Bezwładny nie spocznie, dopóki cię nie odnajdzie. Jestem pewien, że już zrozumiał swój błąd. Ty nie chcesz mnie zabić, a on tylko po to przekazał ci swoją wiedzę i swoją drogą, chyba część mocy żywiołów. Nie po to cię tutaj jednak dzisiaj sprowadziłem. Sam przeczytaj i podziel się swoją opinią. – Wręczył mu pismo od samego króla.

Cluziv przeczytał na głos:

*Drogi Admirosie,*

*Jako król rodu „F”izyków i obywateli pragnę poinformować Cię o rozporządzeniu edukacyjnym numer 1346. Na mocy tego dokumentu Komisja Nadzorcza poparta przez Centralę „F”izyczną wraz ze mną – Bernfrikiem Hochzeitem, przekazuje Ci najnowsze ustalenia. Przez najbliższe kilka dni każdy uczeń Twojej szkoły ma zostać poddany wszczępieniu rdzenia nie silniejszego jednak niż trzy procent. Chodzi o to, by każdy na zajęciach OpZ (Obrona przed Zagrożeniem) opanował podstawowe techniki obronne, które umożliwią mu przetrwanie ataku ze strony samego Bezwładnego lub jego zwolenników. Mamy informację z zaufanych źródeł, że Bezwładny ma już około tysiąca zwolenników. Gdzie przebywa i co aktualnie robi, próbujemy ustalić. Życzę owocnego powrotu do pracy.*

*Król „F”izyków i obywateli  
Bernfrik Hochzeit*

– Co w związku z tym mam uczynić, panie profesorze? – zapytał Cluziv, gdy tylko przestał czytać. – Przecież ja mam już rdzeń, jak wykryją go... To mnie... No wie pan.

– Być może – uśmiechnął się dyrektor. – Ale muszą go wpierv wykryć. Na nasze szczęście nikt z Centrali ani Komisji Nadzorczej nie będzie obecny podczas wszczępienia rdzenia. Mam to zrobić osobiście. W takim razie pewnie zastanawiasz się, po co ci tym zwracam głowę...

Cluziv się zamyślił. Następnie odpowiedział pytająco:

– Żebym wiedział wszystko? – dodał po chwili: – Nie mam pojęcia.

– Tak, to też – uśmiechnął się do niego dyrektor. – Nawet o tym nie pomyślałem. Widziałem tylko, że niektórzy uczniowie ci dokuczają z powodu nowej znajomości, jak sądzę, chyba udanej. – Cluziv już chciał mu przerwać, ale Admiros podniósł rękę na znak, by tego nie robił.

– Od teraz nie będę musiał cię bronić. Możesz chodzić i używać OBRONNIE długopisu i rdzenia. Tylko w miarę swoich możliwości. Nie wykończ tylko innych uczniów. Korzystaj z tego rozsądnie.

– Tak jest – rzekł po chwili namysłu uradowany chłopak. – Rozsądnie. Na pewno będzie rozsądnie!

– Powiedz mi, Cluzivie – zapytał z ciekawym tonem. – Znalazłeś sobie chyba dość dobre towarzystwo, co?

– Nie za bardzo rozumiem, panie profesorze – odpowiedział zmieszany, choć zarumienił się z lekka na policzkach.

Dyrektor zaśmiał się i wyprowadził go z powrotem na korytarz. Weszli po schodach w milczeniu. Kiedy stali już na nim, drzwi w ścianie gabinetu zniknęły.

– Nasze pierwsze zajęcia odbędą się w środę. Zaraz po zakończeniu twojej ostatniej lekcji. Czekaj w swojej sypialni na mnie, dobrze?

Cluziv przytaknął głową.

– Teraz idziemy razem na fizykę – rzekł rozweselony dyrektor.

– Razem? Panie profesorze, nie ma pan ciekawszego zajęcia niż odprowadzanie mnie do sali? – zapytał z niedowierzaniem Cluziv.

– Ooo tak. Jestem cały czas profesorem. Uczę fizyki, a teraz mamy razem dwie godziny zajęć.

Przeszli szybkim krokiem przez korytarz prowadzący do gabinetu dyrektora. Skręcili dwa razy w lewo, potem znów w prawo. Przeszli długim korytarzem, wypełnionym żółtą wełną w rogach. Skręcili w jeden wąski, na końcu poprzedniego. Na samym końcu zauważyli drewniane drzwiczki.

– Czy wszyscy są już w klasie?

Nie czekał jednak długo na odpowiedź. Kiedy weszli, uczniowie siedzieli spokojnie w ławkach. Zupełnie jakby czuli respekt wobec dyrektora. Admiros zamknął drzwi od sali lekcyjnej, a Cluziv usiadł w ostatniej ławce obok Julii. Wymienili jedynie spojrzenia.

Julia była wyraźnie zadowolona tym, co wydarzyło się po lekcji językoznawstwa, patrzyła na chłopaka wyraźnie rozbawiona.

– Przepraszam za spóźnienie. Musiałem niektórym wyjaśnić kilka kwestii – powiedział i przeniósł spojrzenie – tak jak reszta klasy – na Cluziva. – A wracając do tematu zajęć – zaczął profesor. – Najpierw zajmiemy się teorią gwineistyczną opracowaną przez Heliamsa ot Achhektolosa ponad pół wieku temu. Dotyczy ona spadku ciśnienia i wykorzystania cząsteczek w ośrodkach niejednorodnych przy niskim ciśnieniu zewnętrznym.

Cluziv wyjął się całkowicie i nie słuchał nauczyciela – w końcu już to wiedział. Obserwował uczniów, ale nigdzie nie dostrzegł Carola. Coś mu się stało? – zdziwił się. Spojrzał na

Julię wyraźnie znudzoną lekcją. Odprężył się i, zanim pomyślał o tym, jaka jest piękna, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Gdyby tak wejść do jej myśli i usłyszeć je, bez witania się z nią. To ma sens! Może akurat myśli coś o mnie. Przestał słyszeć głos dyrektora i jego wywód. Słyszał za to dziewczęcy głos rozmyślający o wszystkim.

– *Czy to naprawdę będzie tak wyglądało, dzień w dzień? Nudne wykłady... Na szczęście Cluziv wie wszystko... Może jak go poproszę, to mi pomoże, we wszystkim. Może nie tylko on mi się...*

Teraz odwrócił wzrok z zarumienionymi policzkami w stronę dyrektora. Usłyszał dalszy ciąg jego wykładu:

– Częsteczkowa różnica w budowie danych ciał fizycznych przy obniżonym ciśnieniu zewnętrznym w ośrodku niejednorodnym polega, nie na zmianie jego kształtu, a na odległościach wynikających z ich wzajemnego komunikowania się. Przy tak niskim ciśnieniu cząsteczki komunikują się z prędkością...

– *1013 mT/s* – dokończył w myślach za niego Cluziv.

– No proszę, panno Amare. Z jaką szybkością się komunikują? – zapytał Julię dyrektor.

Cluziv widział, że dziewczyna myślami jest zupełnie gdzie indziej. Szturchnął ją łokciem.

Wyrwał ją z głębokiej zadumy. Spojrzała na profesora Admirosa, ten powtórzył pytanie:

– Z jaką szybkością komunikują się cząsteczki przy tak niskim zewnętrznym ciśnieniu?

Nastąpiła zaledwie chwila ciszy. Cluziv w tym czasie znów wyteńczył wzrok w jej oczy. Usłyszał jej myśli:

– *Naprawdę takie pierdoły? Skąd ja mam wiedzieć... Gdyby Cluziv mógł teraz...*

– *Powiedz 1013 mT/s* – usłyszała w myślach głos Cluziva.

– *1013 mT/s*, panie profesorze – odpowiedziała w zaledwie ułamku sekundy.

– Doskonale, panno Amare – zaśmiał się dyrektor. – Powinniście wszyscy brać przykład z waszej koleżanki. Jak profesor pyta, trzeba się nie bać odpowiadać.

Cluziv spojrzał na dyrektora. Przez chwilę wydawało mu się, że ten puścił do niego oczko. Zamrugał kilkakrotnie w szybkim tempie. Spojrzał na Julię, ta uśmiechnęła się do niego i szeptała mu do ucha:

– Dzięki.

– Drobiazg.

Minęła pierwsza godzina. Nawet nie zostali wypuszczeni na przerwę, a dyrektor wyповідаł się na temat praktycznego podejścia do fizyki. Nic jednak konkretnego nie pokazał. Mówił cały czas tylko o potędze rdzenia. Zaczął nawet mówić coś o Centrali. Cluziv myślał, że powie o nowym rozporządzeniu edukacyjnym, lecz się mylił. Po wielkich męczarniach i przysypianiu większości uczniów zabrzmiał donośny dzwonek. Wszyscy odżyli. Julia była już spakowana. Cluziv przez chwilę pomyślał, że nawet nie wypakowała na dzisiejszą lekcję



ani jednego zeszytu. Co prawda, on też nie miał w swoich jeszcze żadnych notatek, ale przynajmniej je wyciągał na każdej lekcji... No tyle, że każdy zawsze pusty. Julia zaczęła na niego. Wyszli z sali.

– Teraz na obiad! – ucieszyła się Julia, jakby zaczęła drugie życie. – Jeszcze raz wielkie dzięki za podpowiedź.

Pocałowała go ponownie w policzek. Uśmiechnął się do niej. Wchodzili po spiralnych schodach w tłumie innych uczniów zmierzających na stołówkę. Minęli nawet Carola. Chodził o kulach, wraz z asekurującymi go koleżkami. Wymienił spojrzenie z Cluzivem. Żaden się nie odezwał. Za to Julia powiedziała chłodno do Carola:

– Do wesela się zagoi. Tylko że nie ze mną – zaśmiała się.

Przeszli przez ścianę głównego korytarza. Kiedy nakładali sobie obiad, przez wielkie witrażowe okna padały promienie słoneczne na ich twarze. Cluziv nałożył sobie zupe i usiadł wraz z Julią przy tym samym stoliku co podczas śniadania.

– Smacznego – rzekła Julia.

– Dzięki i wzajemnie – odpowiedział Cluziv.

Podczas obiadu jednak nie obyło się bez rozmowy.

– Słuchaj, co się właściwie wydarzyło? No wiesz, po egzaminie z językoznawstwa? – zapytała niepewnym głosem Julia. – Po tym, jak ci podziękowałam za pomoc i odeszłam... – tu urwała.

– Sam do końca nie jestem pewny – rzekł Cluziv po chwili namysłu. – No odeszłaś po tym jak... – Julia zarumieniła się lekko, choć Cluziv tego nie zauważył. – Wtedy Carol wraz z kolegami podszedł do mnie, jakby chciał się bić. Był już naprawdę blisko. Nie mogłem użyć rdzenia! Zamknąłem więc oczy, przygotowany na cios w twarz. Wtedy usłyszałem huk. Otworzyłem oczy, a Carol leciał w powietrzu. Jego koledzy oddalili się momentalnie. Sam runął na plecy. Chyba nic mu nie jest, nie? Zresztą, to nie moja wina. To dyrektor – westchnął.

– Żartujesz!?! – zaśmiała się Julia. – Dyrektor go tak potraktował? Jesteś pewny?!

– Sam mi to powiedział w gabinecie. Zabrał mnie tam zaraz po tym, jak Carol runął na ziemię. Powiedział, że gdybym mógł użyć rdzenia, Carol byłby w o wiele gorszym stanie, niż jest teraz. On tylko uczynił to, czego mi nie wolno. Sam w to nie wierzę. Poszliśmy do jego gabinetu. Zobaczyłem, że na biurku ma... – urwał.

Dopiero teraz przypomniał sobie, że na biurku dyrektora leżały dokumenty AGP. Szybko zabrał mu je sprzed nosa i kazał przeczytać rozporządzenie edukacyjne.

– Tak Cluziv? – przerwała jego rozmyślenia Julia. – Co takiego miał na biurku?

– To znaczy – zaczął niepewnie Cluziv. – Nie jestem pewny. To były jakieś dokumenty dotyczące AGP – szepnął przez stolik. Obrócił wzrok w stronę wejścia do stołówki. Właśnie wchodził Carol. Wymienili spojrzenia.

– Przestań się nim zadreczać! – chrząknęła Julia. – Przecież sam powiedziałeś, że to nie ty. Co do tych dokumentów... może to były stare dokumenty, sprzed paru wieków. Może zbiera dowody, by móc cię chronić przed Bezwładnym, jak najdłużej.

Cluziv przytaknął głową, po czym zaczął mówić dalej o spotkaniu w gabinecie. Opowiedział jej o nowym rozporządzeniu od władz. O tym, że i ona wkrótce będzie się uczyć obrony, rzucając – dla Cluziva – zaklęcia – choć są to dla „F”izyków oddziaływania.

– Potem – wtrącił szybko Cluziv, widząc jej euforie na twarzy. – Zapytał mnie...

Chłopak się zmieszał. Chyba nie chciał tego mówić. Admiros zapytał go o Julię.

– Tak?! – ponaglała nad wyraz czule. – O co pytał?

– O nic – odpowiedział szybko. – Nieważne.

Julia wstała i odniosła brudny talerz. To samo uczynił Cluziv, który czuł gdzieś daleko na sobie spojrzenie, jakie rzucał mu Carol. Nie odwracał się jednak. Poszli z powrotem do swoich sypialni. Po drodze było dość pusto. Najwyraźniej wszyscy jedli jeszcze obiad. Zeszli po schodach, śmiejąc się z wydarzeń tego dnia.

– Może wejdiesz do mnie? – zapytał niepewnie Cluziv przed drzwiami do sypialni.

– Z chęcią – odpowiedziała Julia, ruszając za kolegą.

Uśmiechy z ich twarzy momentalnie zniknęły, gdy zobaczyli niesamowity bałagan w pokoju chłopaka. Na podłodze leżały wszystkie przedmioty i ubrania, szafka była wywrócona, prześcieradło wraz z kołdrą podarte. Coś trzasnęło i rozległ się głośny huk. W powietrzu rozniósł się lekki, biały dym. Oboje stali jak wryci w ziemię. Dym zaczął się zbierać w kłębek w jednym miejscu. Julia coraz mocniej trzymała Cluziva. Dym jednak zaczął się rozprzestrzeniać, tworząc w powietrzu litery. Przerażony Cluziv zastonił swoim ciałem Julię. Spojrzeli na litery utworzone w powietrzu. Były dość niewyraźne, a potem nabrały koloru krwistej czerwieni, więc mogli je odczytać:

*J-A W-R-Ó-C-I-L-E-M, C-L-U-Z-I-V-I-E!  
S-T-A-W-I-A-S-Z O-P-Ó-R!*

Po chwili każda litera zawirowała i utworzyła nową, która również zaświeciła krwistą czerwienią. Julia przeczytała nowy napis drżącym głosem:

*R-O-D-Z-I-C-E B-Y-L-I-B-Y T-A-C-Y D-U-M-N-I!  
A-L-E J-A  
N-I-E J-E-S-T-E-M!*

Wtedy ktoś dotknął ramienia Julii. Razem z Cluzivem obrócili się gwałtownie. Julia krzyknęła na cały głos.

– Spokojnie, tylko spokojnie. Odsuńcie się! – rzekł chłodno Admiros.

Ustąpili mu miejsca, wychodząc na korytarz. Kiedy przeczytał napis, wyszedł z sypialni i zamknął drzwi.

– Oboje macie tutaj na mnie czekać, rozumiano? – zapytał szybko dyrektor.

– Tak jest! – odpowiedzieli.

Admiros ruszył biegiem po korytarzu. Kiedy zniknął im z oczu, Julia spojrzała na Cluziva. Wciąż była przerażona.

– To tylko napis – rzekł Cluziv, by trochę się uspokoiła.

Nie chciała go puścić, zresztą on też nie zamierzał. Usłyszeli odgłos licznych kroków. Puścili się niechętnie. Spojrzeli na korytarz. Admiros szedł w towarzystwie kilku ludzi. Każdy z nich miał inny kolor włosów.

– Co to za ludzie? – zapytał szeptem Cluziv.

– Żywiotowcy, nie mówiłam ci?! – zdziwiła się Julia. – Pilnują każdego wejścia do szkoły. To zalecenie Centrali. Ich kolor włosów odpowiada żywiotom, jakimi dysponują. Inaczej stróżę prawa.

– Rozumiem – rzekł w odpowiedzi Cluziv.

Admiros przystanął obok nich. Pokazał na drzwi sypialni Cluziva. Wszyscy czterej żywiotowcy weszli do środka. Cluziv nadal widział poszczególne literki, unoszące się w powietrzu.

– Chodźcie do mojego gabinetu. Uspokoimy pannę Amare – powiedział Admiros, patrząc na ciężko oddychającą Julię.

W środku Cluziv i Julia usiedli na wygodnych fotelach przed dyrektorskim biurkiem. Nastąpiła cisza. Cluziv spojrzął na twarz Julii. Dopiero teraz, kiedy zobaczyła, że się jej ktoś przygląda, przestała dygotać, jakby z zimna. Admiros usiadł w wygodnym fotelu za swoim biurkiem. Wyciągnął jabłko z jednej z szuflad.

– Zjedź, proszę. To pomoże – rzekł Admiros, wręczając dziewczynie owoc. – Nie bój się, nie jest brudne. To lekarstwo, które dostałem od profesora Mixa – naszego alchemika. – Mówiąc to, spojrzął na Cluziva, który jeszcze nie znał wszystkich profesorów.

Julia ugryzła jabłko i poczuła ciepło wypełniające jej ciało. Na jej twarzy pojawił się uśmiech:

– Co się stało? – zapytała. – Dlaczego jestem u pana w gabinecie?

Cluziv popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Wraz z panem Rachmondem zostałam uchwycona w pułapkę przygotowaną na samego Cluziva przez Bezwładnego. Udało się mu zatem tutaj dostać. Nie sądziłem, że to możliwe. Teraz i na korytarzach stać będą żywiotowcy dla waszego bezpieczeństwa.

– Skoro była to pułapka przygotowana na mnie, panie profesorze – zaczął nieśmiało Cluziv. – To czy przypadkiem i ja nie powinienem tak jak Julia przestać rozumieć, co się wokół mnie dzieje?